Nr. 35. Lwów, Niedziela dnia 6. Maja 1877 r. Tom V.

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK IV.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni Ad. Dygasińskiego.

Redakcya:
Ulica Akademicka l. 8.
Administracya:
Księgarnia Polska l. 12 ul. Kopernika.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni
J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.

Nasza niezaradność.

Nadzwyczajna trudność w wyszukaniu zajęcia — pracy na kawałek chleba, jest u nas na porządku dziennym. Dziennikarstwo niejedno krotnie sprawę tę poruszało, zaznaczając wszakże tylko sam fakt, a nie sięgając do przyczyn i sposobów zaradzenia złemu. Do tego smutnego stanu dodać jeszcze wypada, że ogromna liczba ludzi mających zajęcie, pobiera nadzwyczaj małe wynagrodzenie, które przy największej oszczędności nie wystarcza na zaspokojenie najniezbędniejszych potrzeb życia, mianowicie niżsi urzędnicy i oficyaliści prywatni; co razem zestawione daje opłakany obraz życia naszej inteligencyi średniej i niższej, nieuposażonej od rodziców dobrami ziemskiemi, kamienicami lub listami zastawnemi. Czyż dziwić się można, że w tych warunkach bytu, lichwa u nas się sroży, czyż narzekając słusznie na próżniaczy żywot lichwiarzy żydów, wypada zwalać na nich cały ciężar winy? Wszak gdyby żydzi nie zajmowali się lichwą, ta będąc koniecznem następstwem naszej nieporadności byłaby uprawianą przez Niemców lub krajowców. Uznając całą doniosłość Towarzystw zaliczkowych i innych stowarzyszeń wzajemnego kredytu, ich dobroczynny wpływ na kraj i życząc im najlepszego powodzenia, nie możemy wszakże oczekiwać, ażeby one wyrwały nas z nędzy lub lichwy. Boć jeżeli kto ma 50 złr. miesięcznie, a potrzebuje na utrzymanie z rodziną, żyjąc najoszczędniej, tylko 60 złr., to w ciągu roku okaże się deficyt 120 złr., które wypożyczone w Towarzystwie zaliczkowem muszą być tam spłacone. A zkąd? Bierze się na lichwę. Cóż dopiero mówić, gdy potrzeba przez kilka miesięcy zostać bez zajęcia? Oszczędzać powiadają i składać kapitał. Piękna to rzecz oszczędzać, ale nie w warunkach, gdy powszedniego chleba braknie.

Potrzeba przedewszystkiem nie przebierać w pracy, a raczej jąć się najskromniejszej; samym sobie obmyślać drogi zarobku, w drobnym handlu, w drobnym przemyśle, zamiast z założonemi rękami wyczekiwać „odpowiednich“ naszej godności. Powinniśmy raz przekonać się, że godności naszej nie ubliży żadna praca uczciwa, chociażby najpospolitsza.

Coby zrobili Belgowie lub Anglicy, gdyby się urządzali na nasz sposób, tj. gdyby chcieli oczekiwać na jaki dobroczynny spadek, na zawakowanie miejsca biurowego, lub posady w dobrach ziemskich wielkiego pana? Imby i lichwa nie pomogła, wymieraliby z głodu, bo kraje te są przeludnione. Ale na szczęście tam każdy umie myśleć o swoich potrzebach i stara się je zaspokoić w sposób uczciwy, ale nie przebierając w pracy i nie gatunkując takowej na przyzwoitą i nieprzyzwoitą.

U nas są tylko dwa rodzaje pracy uważane za „odpowiednie“ i do nich wszyscy się garną, a wskutek tego zajęcia te nie mogą być należycie płatne. Albo szukamy zajęcia biurowego i na każdą mającą zawakować posadę choćby dyurnisty z płacą po 1 złr. dziennie są setki kandydatów, albo oficyalistów prywatnych, który to drugi rodzaj zajęcia jako uważany za mniej przyzwoity, nie jest już tak bardzo jak pierwszy oblegany.

Handel, któremu w innych krajach miliony rąk poświęcają, u nas jako nie dosyć przyzwoite zajęcie, pozostawiony jest okpiszowskiej eksploatacyi żydów. Ludzie wstydzący się pracy (w tym kierunku) powiadają, że nie mając kapitału, nie mogą się temu zawodowi poświęcać. Gdyby zaś mieli kapitał, nie poświęcaliby się handlowi, bo ten zawsze wymaga pracy, tylko kupiliby sobie wieś, na której siedząc można nic nie robić, dopóki się jej nie straci. Alež handel ma to do siebie, że właśnie daje zatrudnienie ludziom, którzy nie mają kapitału. Handel można rozpocząć z kilku centami, albo i bez takowych nawet, tylko potrzeba szczerej pracy i pozbycia się fałszywego wstydu. Tylko potrzeba wziąć towar i chodzić od domu do domu, od wsi do wsi, a z pewnością przyniesie on lepsze korzyści niż praca biurowa i zapewni spokojny kawałek chleba na starość.

Przemysł leży u nas odłogiem. Najpierwsze codzienne potrzeby nie są zaspakajane krajowym wyrobem. Atrament, lak i tysiące podobnych rzeczy sprowadza się z zagranicy. I tu nie brak kapitału stoi na przeszkodzie, bo można rozpocząć z byle czem, z tem co się ma, potrzeba tylko szczerej pracy i pozbycia się fałszywego wstydu. Tysiące potrzeb zaspakajanych z zagranicy dałoby pracę tysiącom ludzi. Pamiętać powinniśmy, że kapitał dopiero zdobyć potrzeba, a zdobywszy go, można dopiero bądź to handel bądź przemysł rozwinąć na większą skalę. Doświadczenie uczy nas, że ten kto własną pracą zdobył majątek, potrafi umiejętniej nim rozrządzać i prowadząc potem przedsięwzięcie na większą skalę w zawodzie dobrze już sobie znanym nie roztrwoni go, jak to najczęściej zdarza się tym, którzy bez fachowych wiadomości i bez umiejętności pracy zaczynają z większym kapitałem. Powoływanie się zaś na brak kapitału jest prostym wybiegiem na oszukanie siebie samego, na zamaskowanie własnego lenistwa czyli nieumiejętności pracy.

Rolnictwo, ta najważniejsza podstawa naszego bytu, zupełnie jest zaniedbane. Gałęź ta nie jest wcale przedmiotem zarobku niezamożnej inteligencyi. Właściciel stu morgów gruntu uważanym jest za biednego wyrobnika, jeżeli nie bawi się w pana lecz pracuje. Takiż kawał gruntu w ręku Francuza lub Anglika jest majątkiem. O uprawianiu 20—30 morgowego kawałka ziemi ani mowy u nas nie ma, to już rzecz chłopska, na to potrzeba nie umieć ani czytać ani pisać. My byśmy się wstydzili wziąć bicz do ręki, zaprządz wołu, pójść za sochą; a doić krowy, pielęgnować kury, nakładać lub roztrząsać nawóz, to są rzeczy tak nieprzyzwoite dla człowieka który się uczył gramatyki, że czytelnik będzie się rumienił iż ktoś może przypuszczać nawet że on byłby zdolnym do podobnie hańbiącej pracy. A jednak te kilkadziesiąt morgów ojczystej ziemi w dziesięćkroć nabrałyby większej ceny, gdyby przez pracowitą a umiejętną uprawę podniesiono ich wartość. Odwoływać się na nasze stosunki różne od zagranicznych łatwo, ale

przez cóż owe 30 morgów we Francyi cenią się dziesięć razy więcej niż u nas, dla czegoż ziemia nasza nie może wydać tyle ile wydaje za granicą? Tylko dla tego że my wstydzimy się pracy skromnej i nie mamy odwagi do pracy nawet tak zdrowej i przyjemnej jak rolnictwo.

Jest wszakże silniejszy szkopuł, o który rozbijają się najlepsze chęci ludzi dobrej woli ale słabego charakteru. Argument, którym walczą u nas powszechnie, który jest zatwardziałą chorobą naszą społeczną a który opiewa, że: człowiek pewnego wykształcenia, żyjący w pewnej sferze towarzyskiej nie może bezkarnie przekroczyć granicy zajęć przez tę sferę za przyzwoite uważanych, a wszelka praca ręczna uważa się za poniżającą i ten coby się jął takiej nizkiej, skromnej pracy, naraził by się na wyrzucenie z towarzystwa, a przynajmniej na lekceważenie. Tak jest. Każdy próżniak pomiata człowiekiem pracy aby usprawiedliwić swoje próżniactwo. Ale czyż to ma być przeszkodą dla ludzi z charakterem, dla ludzi czujących własną godność? Ten kto uzna potrzebę pracy, kto dostrzeże w niej podniosłe zadanie wzbogacenia kraju, zapewnienia przyszłości swemu potomstwu, ten i w pracy drobnej zarobkowej będzie widział spełnienie swych obowiązków, ten nie będzie dbał o drażliwości pół-panków i lekceważenie próżniaków.

Ludzie pracy, ludzie spełniający swoje obowiązki, tylko szacunek obudzać powinni. I tak jest we wszystkich krajach oświeconych. Jeżeli więc nie chcemy uchodzić za barbarzyńców, nie zasłaniajmy się tem, że nie pełnimy naszych obowiązków dla tego, iż to może się niepodobać komuś, co także nic nie robi, przeżywając resztki ojcowizny albo czekając na posadę, ale powiedzmy sobie poprostu: nie pracujemy bo jesteśmy leniwi i niezaradni, bo nie czujemy dosyć charakteru abyśmi uczciwej a surowej pracy podołali, bo wychowano nas w fałszywem zapatrywaniu na pracę i my tego fałszywego zapatrywania pozbyć się nie chcemy. Pamiętajmyż, ażeby przynajmniej dzieci nasze inne miały pojęcia, ażeby nauczyły się stwarzać sobie pracę, i *zaczynać od małego.*

SZKLANNY CZŁOWIEK.

Nowella

J. Łama.

(*Ciąg dalszy.*)

Panna Lalcia Sumińska miała w istocie bardzo piękny posag, piękniejszy, niż mówiono. Ojciec dobrodziej przyznawał jej wprawdzie tylko 150.000 złr., które miały gdzieś być ulokowane w sposób nietykalny; ale ludzie znający bliżej stosunki właściciela Młynisk wiedzieli dobrze, że posiada on najmniej dwa razy tyle kapitału, i tylko nieprzyznaje się do niego, aby nie być narażonym na świadczenie pewnych przysług sąsiedzkich, które, między nami mówiąc, zwykle kończą się stratą. Oto, niedawniej jak wczoraj, figurezvous, mon cher...e... jak się nazywasz? — w resursie przegrał do mnie Witold 200 złr. Chciał mi dawać weksel; oczywiście, nie wypadało przyjąć, wszak honor wystarcza.... a tymczasem, Witold nigdy nie płaci takich długów. Gdybym był wziął weksel, mógłbym go był odprzedać żydowi, a ten wyegzekwowałby zaraz należytość. Otóż i Sumiński, jak mówią, pożyczał często pieniądze sąsiadom, ale zawsze tak, że nikt nie wiedział o tem. Był faktor w Gradopolu, niejaki Ehrenmann, ten wysysał całą okolicę i miał ogromne sumy do żądania od szlachty, choć sam nie miał tyle kapitału, ile potrzeba było na kupienie tuzina skórek zajęczych. Szeptano sobie do ucha, że Sumiński za jego pośrednictwem robi interesa. Rzeczywiście, kiedy raz przyjaciel mój, hr. Nowiński, zastawił u Ehrenmanna srebro, z herbem Nowina, cyfrą A. J. N i koroną o dziewięciu perełkach, a w tydzień później byłem na imieninach p. Sumińskiej w Młyniskach, mogę potwierdzić, że jadłem haniebnie chudą kurę nożem i widelcem, na których był herb Nowina z koroną hrabską i cyframi A. J. N. — ale to mię odwodzi od przedmiotu. Rdzeń rzeczy stanowi posag panny Lalci, rumianej osóbki prosto z pensyonatu, *très rouge, et très gauche,* ale, ot tak sobie, dla szlachcica, który ma 4 000 złr., garderobę, i nic więcej, wcale buziaczek, i *comme de raison* jedynaczka. Co zaś najzabawniejsza, to, że od razu zakochała się we Władysławie, aż do ostatniego, najczerwieńszego koniuszczka swoich uszek. Trzeba zaś wiedzieć, że Sumiński, jakkolwiek był w stosunkach z Ehrenmannen, miał taką słabość dla córki, że byłby ją wydał za mojego Grzegorza, gdyby się była uparła. Pani Ptaszyńska usiłowała parę razy wytłumaczyć mi, jak to się stało, że maryaż ten nie przyszedł do skutku, ale przyznam się, że nie rozumiałem tego nigdy.

— *Elle mange les petits pois avec le couteau* — odpowiadała mi, gdy podnosiłem kasowe zalety papy i domorosłe, rumiane wdzięki córeczki. Trzeba bowiem wiedzieć, że oprócz Bulwera, zaczynał wówczas wchodzić w modę także i Thackeray, którego Snoby ku obrazie przyzwoitości wynalazły tylko ten jeden sposób, że nie mogąc dać sobie rady z grabkami, jadają groch nożem. — *Et puis... et puis...* no, jednem słowem, panienka wymawiała francuszczyznę z szwajcarska, przyznawała się otwarcie, że nie rozumie „Medytacyj" Lamartina, przenosiła „Trzech Muszkieterów" Dumasa nad *Han d'Islande,* i ściągała ramiona, ile razy kto wspomniał o przecudnym ustępie z Manfreda, który rozpoczyna się od blasku księżyca, igrającego na fali — a to z powodu, jak mówiła, że kiedy księżyc świeci, a woda jest blisko, to komary tak tną, że wytrzymać nie można. Było to bardzo niepoetyczne, *j'en conviens,* alež za to, gdy Władysław zaledwie z trzecią wizytą był w Młyniskach, i odjeżdżał, wybiegła za nim do sieni i powiedziała mu: Niech pan namówi p. Ratatyńskiego, żeby jutro znowu zapolował na naszych błotach, i niech panowie wieczór przyjadą do nas. Ja tak..." To „tak" niedokończone, było bardzo wymownem, i byłoby wymowniejszem, gdyby p. Ptaszyńska nie była interweniowała w samą porę. Dość że na drugi dzień poczciwy Marceli wyprowadził Władysława znowu na błota młyniskie, i Władysław dostał kataru, a panna Lalcia nie pozwoliła gościom wracać do Barkocina, bo wieczór był chłodny, i Władysław kładąc się spać w gościnnym pokoju, ku wielkiemu swojemu zdumieniu ujrzał wchodzącego tam Hryćka, z ogromnym puharem herbaty z lipowego kwiatu, z bitem żółtkiem, i z peremptorycznem poleceniem, iż „jaśnie panuncia" kazała mu to wypić. Nazajutrz zaś, po śniadaniu, nim założono konie, Sumiński oprowadził Marcelego i Władysława po gumnie, i po oborze, i przekonali się, że inwentarz w istocie przepyszny, a gospodarstwo takie, jakiego drugiego chyba nie było w kraju. Pocześm Sumiński powiedział, niby nawiasem: „Ot, człowiek pracuje, choć sam nie użyje, ale da Bóg, że przynajmniej Lalusia będzie szczęśliwą; żeby się tylko znalazł jaki poczciwy człowiek, coby szanował moje dziecko!" *Eh bien, qu'en dites-vous?* Władysław bywał w Młyniskach, póki tam bawiła p. Ptaszyńska, we wrześniu zaś w ślad za nią wrócił do Lwowa.

Była znowu wielka rada familijna, wywołana lamentującym listem Marcelego, ktory miał podwójne zmartwienie: najpierw z powodu, że Władysław odrzucił taką świetną partyą, a powtóre, że nie miał zkąd oddać mu owych 4 000 złr., które p. Ratatyńska zabrała z sobą do Karlsbadu. Zaledwie zdobył się na parę set guldenów, bo choc sprzedał z góry okowitę, ale dom miał wielki, a interesa, jak mówiłem, zawikłane.... Byliśmy, ma się rozumieć, wszyscy przeciw Władysławowi, i znowu tylko jedna p. Ptaszyńska stanęła w jego obronie, temi samemi prawie słowami, co pierwej.

— Państwo go nie znacie! To jest — *pour ainsi dire,* człowiek szklanny. Najmniejsze trącenie, a kryształowy umysł tego rodzaju brzęknie boleśnie — najlżejsze tchnienie trywialne, a świetna powierzchnia zaćmi się mgłą. Ta czerwona szlachcianka z lipowym kwiatem, *elle est d'un ridicule assommant....*

— Moja kuzyneczko — zawołałem — gdyby to Władysław mógł mieć pewne pretensye! Dajmy na to, *s'il avait le fardeau d'un grand nom à porter...* Mnie by w istocie trudno było wprowadzić w świat hrabinę Taniejewską, któraby przyjmowała gości okrzykiem: *Ach, sawewu, notr rusz wasz a i en wo!* Ale pani Podborska, choćby się tak ekstazyowała krowami i cielętami—od czego ją zresztą odzwyczaić można — *ma foi,* pojmuję, że można być szklannym, gdy chodzi o honor, ale komary, kwiat lipowy z żółtkiem i nowonarodzone cielę nie powinneby razić i najszklanniejszego umysłu!

— *Les* Taniejewski *ne sont pas des Montmorency non plus* — odparła z przekąsem p. Ptaszyńska — a trzeba wiedzieć, że była bliżej spokrewnioną z Podborskimi, z nami zaś zaledwie spowinowaconą. Podborscy są w Niesieckim, dodała.

— W wydaniu Bobrowicza! Ptaszyńscy są tam także.

— A Taniejewskich i tam nie ma! Wielkie rzeczy, że ktoś „tanio" albo „drogo" jadał albo, jedzenie gotował, i za to został hrabią!

To mię ubodło, przyznam się. Jesteśmy, jak tego dowodzi uczone dzieło Hipolita Stupnickiego, Taniejewskimi z *Tannejewa,* co jest tylko polską formą zamiast *Tannenbergu,* i pieczętujemy się herbem *Zegar,* który wyobraża mosiężną sprężynkę od zegarka w srebrnem polu, i nadany był przodkowi mojemu Szpicifindrowi, za to, że przybywszy z Niemiec, naprawił Bolesławowi Krzywou-

scemu remontoar, w którym kula z iglicówki pruskiej złamała była sprężynę. *Bref, je vous dirai*, iż od tej pory nadzwyczaj rzadko widywałem się z panią Ptaszyńską, a tem samem, straciłem na dłuższy czas z oczu jej szklannego Władysława. Marceli tylko skarzył mi się na nią i na niego. Bo też dokuczali mu nieznośnie temi kilkoma reńskiemi, które przecież on a nie kto inny wyrwał ze szponów depozytu sądowego, chcąc ratować chłopca, jak szwagrowi przystało! Muszę mu oddać tę sprawiedliwość, że aby przeszkodzić roztrwonieniu kapitału, dawał tylko po odrobinie, ale cóż, Władysław podpisywał i podpisywał weksle, a nakoniec sprzedał całą pretensyą żydowi, i wyjechał za granicę, bodaj czy nie w tłumoku p. Ptaszyńskiej, i nie stłukł się, *tout de verre qu'il était*. Biedny Marceli miał kłopot ogromny, bo jego adwokat zaniedbał tę sprawę i żyd nietylko wlazł mu do tabulki, ale zlicytował mu za bezcen różne ruchomości, między innemi czwórkę szpaków, którą p. Ratatyńska przyjechała do Lwowa, i za którą, sam widziałem, jak Marceli zapłacił 1600 reńskich Chrabąszczowi, a na 500 dał weksel. I to się nazywa być szklannym człowiekiem, jeżeli się płata takie figle rodzonej siostrze!

(C. d. n.)

O RZEŹBIE.

Odczyt

OTTONA HAUSNERA.

(*Ciąg dalszy*).

Chrześcijaństwo, które architekturę z gruntu przerobiło i obalając ciasne jej prawidła, tej sztuce nadało w swych niebolotnych wieżach charakter zupełnie nowy, które udzieliło malarstwu szerszą podstawę i wytknęło mu wyższe cele, które muzykę prawie na nowo stworzyło, — rzeźbie w pierwszych swych wiekach panowania wyrządziło ogromną szkodę, później zaś ją ani zasiliło ani na zbawienne nowe tory skierowało, owszem niczem równorzędnem nie wynagrodziło utratę pogańskiej pogodnej prostoty, czystości i jasności. W nadmiarze swej gorliwości, aby prędzej wykorzenić naturalizm pogański z umysłów ludzkich, pierwotne chrześcijaństwo uczyło, że nie ma brzydoty, prócz brzydoty duszy i posunęło się potem aż do bluźnierczej hipotezy, że Chrystus jako człowiek musiał być brzydkim jako odkupiciel grzesznych, słabych, ułomnych, uciśnionych, ubogich na umyśle i brzydkich (obacz Św. Cyrylla[1]) i Tertulliana). A pierwotni chrześcijańscy rzeźbiarze, wiernie według tych nauk postępowali, mimowolnie w tym kierunku wsparci grubą swą niezręcznością. Syna Bożego przedstawiali najprzód na sarkofagach, w płaskorzeźbach, w postaci młodej, bez brody i wyrazu, w rodzaju nieokrzesanej reminiscencyi Apolina, potem zaś w krucyfiksach jako wychudłego, zamęczonego i mękę ludzkim sposobem cierpiącego śmiertelnika, z oczami w słup lub groźnie i ponuro spoglądającego. W tych utworach nie ma cieniu, nie ma przeczucia tego, co późniejsza sztuka w postaci Zbawiciela skupiła: ani niedostępnej wzniosłości Tycyana[1]), ani mądrości Leonarda[2]), ani wszechwładzy Michała Anioła[3]), ani smętnej rezygnacyi Rafaela[4]), ani zachwycenia Fra Angelica[5]), ani serdecznej łagodności Sansovina[6]), ani spokojnej powagi Thordwaldsena[7]).

[1]) Nec aspectu quidem honestus, si ingloriosus, si ignobilis meus erit Christus.

Jeżeli tak Zbawiciela przedstawiano, łatwo się domyśleć jak święci i błogosławieni z tych rąk wyszli, gdy im nadawano rysy rubasznych pro staków z wyrazem czatującej chytrości lub dzikiego gniewu. Co w rzeźbach pierwszej połowy wielkiego dziejowego zaćmienia, które średnim wiekiem zowią, najbardziej oburza, to jest zachowanie atrybucyi pogańskich przy zupełnej utracie piękności pogańskiej. I tak widzimy nie raz na sarkofagach Orfeusza lub Merkuryusza obok karykatury Chrystusa lub wyciągniętej z obłoków ręki Boga Ojca. Ten stan dziecinnej techniki i przewrotnych pojęć trwał, raczej pogorszając się, niżeli do poprawy dążąc, od 5go do 12go stulecia. W 12tym wieku po raz pierwszy spotykamy nazwiska przechowane rzeźbiarzy, tak Gruamonsa w Pistoi, Bonanna w Pizie, Biduina w Luce i innych, lecz ich utwory są tak błędnie rysowane, tak do drewnianych lalek podobne, jak przed 600 laty. W 13tym wieku występuje z tej puszczy, bez przygotowania i poprzednika *Niccolò Pisano* (Mikołaj z Pizy) ze swą kazalnicą w Baptisteryum Pizańskiem i ze swem arcydziełem: Zdjęciem z krzyża, w S. Martino w Luce.

Kto ujrzał te utwory o formach doborowych, o jędrnym rysunku, o bogatem ugrupowaniu i o wyrobionej technice i porówna je z tem, co bezpośrednio przedtem zdołano utworzyć, ten w obec tak nagłego wskrzeszenia zupełnie wygasłej sztuki, tak rychłego oswobodzenia z martwej tradycyi przyznać musi, że podobnie samodzielnego, twórczego aktu w dziejach sztuki nigdzie nie ma, bo wszyscy, którzy odnowili lub o szczebel wyżej postawili sztukę: Giotto i Donatelo, Masaccio i Michał Anioł, mieli swych poprzedników i nauczycieli i stoją w organicznym związku z poprzednim rozwojem.

Jeden Niccolo wystąpił jako zagadkowy autodydakta, jak pełny promień słońca po ciemnej nocy, a jednak nie jeden, któremu imię i dzieła Giotta tkwią w pamięci, nie zna Niccola, lub przynajmniej nie zmierzył całego znaczenia męża, który na nowo odkrył klasyczną piękność w rzeźbach, podczas gdy w górnych Włoszech i w Niemczech ledwie styl chrześcijańsko-gotycki poczynał się rozwijać, i gdy analogiczny obrót, odrodzeniem zwany, w malarstwie, studyach, literaturze i życiu społecznem niemal o 200 lat później nastąpił. Jednak spokojnej harmonii i równowagi w dziełach Niccola szukać nie należy. Przeciwnie, duch nie zdołał przeniknąć i ożywić wznowione klasyczne formy i dla tego wobec tych tajemniczych utworów doznajemy raczej wrażenia pewnej trwogi, niżeli zadowolenia.

Syn Mikołaja, Giovanni Pisano w swej kazalnicy w S. Andrea w Pistoi i uczeń jego *Fra Guglielmo* w Arce św. Dominika w Bononii starali się natchnąć klasyczne formy duchem religijnym, z pewnemi ustępstwami na rzecz panującego stylu średniowiecznego, czego następcy ich *Andrea Ugolino*[1]), *Andrea Orcagna*[2]) i *Nino Pisano*[3]) stanowczo dokonali.

[1]) Cristo della Moneta w Dreznie. Cristo in Gloria w Madrycie.
[2]) Wieczerza w Medyolanie.
[3]) Sąd ostateczny w Sykotynie.
[4]) Spasimo di Sicilia w Madrycie.
[5]) Chrystus sędzia świata w Orvieto.
[6]) Chrzest Chrystusa w Florencyi
[7]) Chrystus z apostołami w Kopenhadze.

Lecz dopiero 130 lat później, około roku 1400 dalszy postęp stanowczy został dokonanym i to w trojakim kierunku:

Po pierwsze: Umiejętnem naśladowaniem natury przez Jacopo della Guercia i Donatello.

Po drugie: Rozszerzeniem zakresu przedstawionych przedmiotów przez Lorenzo Ghiberti.

Po trzecie: Zdobyciem nowej materyi dla rzeźby przez Luca della Robbia *Jacopo della Quercia*; głowa szkoły Sieńskiej w swych płaskorzeźbach w S. Petronio w Bononii i w nagrobku del Carretto w Luce starał się szczelnie spoić energiczną prawdę z pięknością antyków, a kto miał sposobność nakarmić oko widokiem ciżby proroków, aniołów, bohaterów i zwierząt, cudownie zaludniających pilastry i nadsłupia marmurowej fasady tumu w Sienie, ten tylko zda sobie sprawę, jak dalece podobne zadanie udać się mogło.

Donatello poszedł dalej i postępował bezwzględniej. Jemu prawda i jedynie prawda, ścisłość anatomiczna, nadanie marmurowi pozoru życia pulsującego, krwi i kości było celem wyłącznym. On wraz z Ghibertim stworzył właściwie styl „nowoczesny". Tej „furyi" realizmu oddał on się nieraz z pewnym uszczerbkiem piękności i ducha religijnego.

I tak jego Chrystus w Padwie, jego Zwiastowanie w Santa Croce, nie odpowiadają wzniosłości świętych przedmiotów. Za to Dawid (w Museo Nazionale) i Judyta (w Loggia dei Lanzi) są wspaniałe postacie biblijne, a Św. Marek, Piotr i Jerzy (w Or S. Michele) mają całą surową powagę apostołów. W posągu konnym kondottiera Gattamelatty w Padwie dowiódł, że kształty konia z równą pewnością odtwarzał.

Lorenzo Ghiberti, twórca głównych drzwi brązowych Baptisteryum florenckiego, o których Michał Anioł mawiał że byłyby godne być bramą do raju, odstąpił od jednej z głównych zasad rzeźbiarstwa, gdy w swych płaskorzeźbach zamiast równego tła ściany brązowej umieścił krajobrazy, drzewa, owoce i girlandy i starał się perspektywą stworzyć głębokość i powietrze, gdy, jednem słowem, nadał im styl malowniczy. Ta innowacya, która właściwie z płaskorzeźb uczyniła malowidła brązowe, jest niezawodnie herezyą. Ale na taką herezyą, pełną myśli, wdzięku i pokonanych trudności tylko geniusz zdobyć się mógł, a błąd Ghibertiego wydał piękniejsze owoce i więcej nas zachwyca, niż prawidłowość tysiąca naśladowców. *Luca della Robbia* wynalazł, czyli na nowo odkrył zapomniany sposób wypalania i malowania szkliącej gliny (terracota.) Z tej to kruchej materyi, która z powodu nierównego ściągania się podczas wypalania i ztąd wynikającego niebezpieczeństwa uszkodzenia nie dozwala ani śmielszych postaw, ani żywszych ruchów, z tą szczupłą skalą czterech kolorów (żółty, zielony, niebieski i fioletowy), utworzył ten mistrz, jego syn Andrea i jego 100 lat trwająca szkoła arcydzieła pełne uroku, natchnienia i harmonii, które widzieć trzeba,

[1]) Płaskorzeźby, mianowicie „Nadzieja" w Baptisteryum florenckiem.
[2]) Matka Boska z św. Piotrem w Madonna della Spina w Pizie.
[3]) Tabernaculum w Or S. Michele w Florencyi.

*

aby uwierzyć, iż podobną doskonałość podobnemi środkami osiągnąć można. Fronton szpitala del Ceppo w Pistoi, przedstawiający Czyny miłosierdzia, Męka Pańska w Santa Croce, Zmartwychwstanie w Akademii, Madonny i aniołowie w Museo Nazionale i Narodzenie Pańskie w Alwernii, są znane i wszystkim przystępne utwory. Nadmienię tu jeszcze dzieło prawie nieznane: Stygmatyzowanie Świętego Franciszka w Barga, mieścinie schludnej, staremi basztami otoczonej, która z zielonej wyżyny Apeninu dumnie spogląda na kapiącą winem i oliwą dolinę Serchio. Jest to jeden z tych tysięcznych zakątków, przyrodą i sztuką ustrojonych, jakich we Włoszech, po niby najlepszej znajomości kraju ze zdumieniem odkryć można. Tam, w skromnym, prawie nagim kościele Franciszkanów nad bocznym ołtarzem wmurowany jest ten cudotwór i świadczy o tem co geniusz ludzki wypaloną gliną i czterma kolorami dokonać może. Na ponurem tle stromych urwisk Alwernii Święty w bolesnem zachwyceniu doznaje cudu, klęcząc przed uroczystym wysłannikiem niebiańskim, podczas gdy braciszek w niemem przerażeniu opiera się o drzewo. Te afekta głębokiem uczuciem, uderzającą prawdą są oddane, a jednak z miarą, bez przesady. To jedno dzieło, którego żaden z przewodników podróżujących nie podaje, warte, aby pielgrzymkę odbyć do Barga.

Między tym potrójnym postępem rzeźbiarstwa na początku 15go wieku, a między pełnym jego rozwojem pod Sansovinem i Buonarottim, leży przestrzeń prawie stuletnia. Dwa nazwiska dość rozgłośne cechują tę epokę korzystania z poprzednich zdobyczy i przygotowania do dalszego postępu. *Andrea Verrocchio*, nauczyciel Leonarda, zarazem złotnik, rzeźbiarz i malarz, pracował wyłącznie w brązie i postępując dalej w ślad Donatella torem świecko-realistycznym, nadawał swym postaciom charakter surowy, wyraz cierpki, i wykonywał je z najgłębszą znajomością anatomii, bez wdzięku ani miękkości.[1]) Posąg konny Bastolommea Colleoni w Wenecyi[2]) jest może najświetniejszym pomnikiem tego rodzaju. Nieubłagana duma i junacka postawa szczęśliwego wojownika, lekki, szlachetny kształt dzielnego rumaka nieporównanie oddane. W zupełnie przeciwnym duchu tworzył za mało znany *Matteo Civitali*, mistrz wielkiej gracyi, rzewnej łagodności. On wyłącznie w marmurze miękkim dłutem wykuwał swe idealno-religijne postacie.[3]) Nagrobek Piotra del Noceto, modlący się aniołowie i Św. Regulus w katedrze w Luce, służyć mogą jako wzory nadobnej czystości. Jeden i drugi kierunek osiągnął około początku 16go wieku najwyższy stopień rozwoju, na jaki warunki, obyczaje i usposobienia czasu zezwalały. W *Andrea Contucci da Sansovino* idealizm znalazł mistrza w pełnem posiadaniu wszelkich środków artystycznych, który jako przedstawiciel pobożności, zachwycenia, pokory, miłości, młodości i nadobnego wdzięku, zasługuje na nazwę Rafaela między rzeźbiarzami, i winien być równorzędnie umieszczonym obok Michała Anioła, przedstawiciela siły, prawdy, energii, charakteru, powagi, srogości i przerażenia. Kto uważałby to równosławienie Sansovina z Michałem Aniołem za przesadne, niech pójdzie i niech ogląda jego płaskorzeźby z życia Najświętszej Panny na Casa Santa w Loreto, jego rodzinę świętą w S. Agostino, jego Chrzest Chrystusa we Florencyi i jego grobowce kardynałów Basso i Sforza w S. Maria del Popolo. Te ostatnie są niezaprzeczenie najpiękniejsze nagrobki w Rzymie, bo łączą błogi spokój rzeźb greckich z gorącem uczuciem chrześcijańskiem.

(C. d. n.)

[1]) Obok niego charakteryzują ten kierunek bracia Pollajnolo, Rustici, Rosselino, Rovezzano i Lorengo Vecchietta.

[2]) Tylko modelowany przez Verrocchio, zaś odlany przez Alepandro Leopardo.

[3]) Z nim cechują ten kierunek Mino da Fiesole, Andrea Ferrcei, Benedetto da Majano i Lorenzetto.

POWSTANIE POLSKIE
nad
BAJKAŁEM.

Z pamiętników naocznego świadka Z. O.

(Ciąg dalszy.)

Wylądowanie więźniów za Bajkałem, tworzyło treść do poważnego obrazu! Te gromady polskich wygnańców o twarzach wypogodzonych z usposobieniem rezygnacyjnem, można było wziąć za jakichś poszukiwawczy, należących do wyprawy Behringa lub Franklina w głąb puszcz północnej Ameryki, za ludzi stawiających swe życie na kartę niepewnego losu, dla idei, dla zaspokojenia ciekawości ludzkiej zowiącej się *wiedzą!* Lub też za hufiec nieulęknionych odkrywców, rzucających w nieznane kraje promienie cywilizacyi. Wszak takie posłannictwo wygnańców polskich w Syberyi; innego kierunku, trudno było w tej wędrówce polskiej dopatrzeć!

Nadbrzeża Bajkału, powiada Humboldt w swej podróży po Azyi, są urocze i razem pełne ponurości! My Polacy tylko drugie przyznać możemy, bo trudno aby miejsca krwią przesiąkłe i nią dymiące dla nas były uroczemi.

Przy zstąpieniu na ląd rozciągnęły się przed oczyma wygnańców znamiona siły niszczącej. Tu i owdzie wznosiły się fantastyczne piętra i urwiska z nagich drzew potrzaskanych burzami, które utrudniały przedarcie się z jednego punktu na drugi, a chociaż było to w czerwcu, kiedy przyroda jest u nas w pełni życia, to mimo to tutaj wszystko miało postać przygnieciona. Cienka warstwa lodu, pokrywająca przedmioty, nadawała przyrodzie pomimo całej srebrzystości, wyraz mroźny i dreszczem przejmujący. Zdawać się mogło w złudzeniu, że się jest gdzieś wśród grot stalaktytowych. Powyżej wzrok ginął w gąszczach puszcz dziewiczych, ciemnych, ponurych jak myśl zbrodniarza! Przyroda ta była jakby w żałobie, zdawało się, że wyparła się swych porywających wdzięków a zachowała tylko groźne i olbrzymie. Lecz mimo to, całość obrazu, owiana smutkiem i grozą tworzyła widok wspaniały, szczególniej przy oświetleniu ponuro zachodzącego słońca!

W pierwszych zaraz dniach, gdy partye zajęły wskazane przez Moskali leżyska nadbrzeżne, drzewa walące się przygniotły kilku więźniów, z których dwóch znalazło śmierć pod niemi. Przystąpiono niebawem do budowania szałasów (bałaganów) z drzewa i ziemi; po kilku dniach pustkowia przemieniły się w ruchliwe mrowiska termitów polskich, gospodarzących nie w ziemi, ale na jej powierzchni, wznosząc dla siebie szatry koczownicze. W każdem takiem schronieniu, rozlokowało się po kilkunastu więźniów, prowadząc życie, przypominające życie rodziny, której spójnią było wspólne cierpienie.

Kierującym szefem technicznym robót na drodze krugomorskiej, był pułkownik inżynierów komunikacyi (putiej soobszczenia), Szac, do administracyi zaś wyznaczono pułkownika kozaków Czerniajewa. Obydwa naczelnicy byli ludźmi, wykonywającymi ściśle włożone na nich obowiązki, dla tego o nich jako o machinach, nic nie da się więcej powiedzieć.

Czas do robót wyznaczony był od godziny 5. rano do 6. wieczorem, tego przestrzegali kozacy, którzy jednocześnie figurowali jako dozorcy robót. Można sobie wyobrazić, co znaczy kozak postawiony jako przełożony nad ludźmi; ponieważ jednak ruskij sałdat ani sumienia ani ludzkości nie posiada, nie wymagali zatem więźniowie żadnych uwzględnień; na to było się przygotowanym, a obchodzenie się Moskali choćby najsurowsze, gdy było tylko w granicach możności zniesienia takowego, przyjmowało się zazwyczaj obojętnie.

Ale obrażała niesumienność i nieludzkość wyższych przełożonych; ci wyrzutki frymarczyć poczęli nędznem pożywieniem więźniów, robiąc z niego dla siebie źródło dochodów.

Dla każdego więźnia wyznaczyła kaźnia (Rząd) na jeden miesiąc 72 funtów mąki razowej, $7\frac{1}{2}$ funtów krup jęczmiennych, 15 funtów mięsa i 1 cegiełkę herbaty*) Wydzielenie tak małej ilości prowiantów, byłoby przecież wystarczającem, gdyby dochodziło więźniów w całości, ale raz, było to tylko na papierze, a powtóre, produkta te, dostawiali przedsiębiorcy do rąk Moskali w stanie zupełnego zepsucia. Mąka i krupy były stęchłe i wilgotne; mięso rozdawano wprawdzie solone, ale mimo to tak zepsute i cuchnące, że nareszcie sami Moskale zaniechali dostarczania go w tej formie, zamieniając na żywe sztuki bydła. Ciężar całkowity wołu czy krowy oddawano więźniom jako wagę mięsa tak, że z przeznaczonych 15 funtów zaledwie 10 funtów przypadało na każdego. Zresztą przy tych wagach i wydawaniach racyj, oszustwa były prowadzone do tego stopnia, że więźniowie po prostu z głodu puchnąć musieli. Dołączywszy do powyższego wyżywienia, wilgoć, niezdrowe wyziewy ziemi, przeciążenie pracą, nie zdziwimy się, że na nowo sprowadzono do nas choroby, że szkorbuty i gorączki napowrót się rozwinęły, a polowe ambulanse pozbawione wszelkiej umiejętnej opieki i lekarstw, przepełnione chorymi, były ostatnim przytuliskiem katorżnika, do którego jeżeli nie dziś lub jutro, każdy dostać się spodziewał, mając z tamtąd przed sobą jedyne wyjście to jest *dół* rękami kolegów wykopany.

Tu czas nie dał się liczyć na lata!

W katorgach Listwiennicznych było kilkuset więźniów od r. 1865, i ci pracowali na drodze krugomorskiej cały rok 1865 w powyższych warunkach. Na zimę z 1865 na 1866 r. zamknięto ich napowrót w więzieniach, a z nadeszłym 1866 rokiem znów mieli być rozmieszczeni po nadbrzeżu Bajkalskiem i sypać drogę wspólnie z przybyłymi z Irkucka więźniami.

Starostą*) pomiędzy więźniami Listwienni-

*) Smak tej prasowanej herbaty, zwanej kirpicz, zupełnie podobny do smaku dębianki, w której moczą skóry garbarze.

*) Starostą nazywał się jeden z kolegów, wybrany dla koniecznego pośrednictwa pomiędzy Moskalami i więźniami w sprawach takich, jak odbieranie pieniędzy, okrycie, rozdział roboty itd. Z początku więźniowie od rzucali takiego pośrednika, mianowicie wówczas, gdy tenże przez samych Moskali był wybierany i przez nich upoważniany do robienia wszelkich denuncyacyj. A gdy z drugiej strony, nieodzownem było takie porozumiewanie się za pomocą jednego, woleli więźniowie sami z pomiędzy siebie najzaufańszych wybierać, na urząd, który

cznymi był Gustaw Szaramowicz**) Zaznawszy jeszcze w 1865 roku nadbajkalskiej niedoli, przedstawił towarzyszom, że mają tylko dwie drogi do wyboru: albo zginąć pod batami moskiewskimi jak zwierzęta, albo spróbować wyjarzmienia się, i w razie niepowodzeń zakończyć życie, choćby na bagnetach ale przynajmniej w walce, przynajmniej w obronie wolności. Nie wiele się kłopotał o plan, bo do wystąpienia takiego pchała go tylko rozpacz, i nawet nie dbał o powodzenie. Tymczasem jednak rzecz uległa zwłoce z przyczyny, że Irkuczanie przesłali do Listwiennicznej zawiadomienie o zapadłych u nich postanowieniach, wzywając Szaramowicza ażeby jako starosta stanął również na czele tych więźniów, którzy mieli przybyć z Irkucka. Był to poniekąd rozkaz, któremu on poddał się z zapałem, oczekując przybycia katorżników.

Celiński wytrwały w raz powziętych zamiarach, gdy przytem ujrzał, jaki los oczekuje katorżników, pomimo demoralizacyi wywołanej manifestem, zdecydował się sam dać przykład i z pomocą środków, jakimi mógł rozporządzać, przesłał do starostów Szaramowicza i Kwiatkowskiego v. Arcimowicza 20. czerwca rozkaz tej treści: „Co się raz postanowiło trzeba spełnić, odwlekać niepodobna, każda chwila zwłoki będzie naszem zniszczeniem, powstać musimy, ja zaczynam, Arcimowicz ma natychmiast ze swymi iść spiesznie brzegiem ku północy, stosójcie się ściśle do tego, odpowiedzi nie czekam — Celiński.“

Gdyby nie myśl, że dopuszczenie jednego tylko Celińskiego do wybuchu, byłoby pewną zgubą dla wszystkich jego współtowarzyszów, Szaramowicz jako też i Arcimowicz przy okolicznościach obecnych, nie bardzo sprzyjających, byliby się zawahali, a może i zupełnie pozostali bezczynni, przynajmniej aż do czasu, w którym by wszyscy więźniowie jednomyślnie uznali, że wszelkie nadzieje polepszenia bytu z rąk Moskwy są próżne; ale wyrazy Celińskiego *„ja zaczynam“*, a następnie wezwanie Arcimowicza, zelektryzowały i tak już gorączkowo usposobionych starostów i obaj, nie myśląc co dalej będzie, poddali się woli Celińskiego.

Arcimowicz po odebraniu powyższego rozkazu dał hasło do powstania,— uderzył na straż moskiewską, rozbił ją, zabrał broń i żywność spiesząc czem prędzej brzegiem Bajkału do Murymu W Kułtuku pozostali z więźniów tylko chorzy i podeszli w wieku. Gdy w kilka godzin potem uzbrojeni więźniowie stanęli pod Murymem, wysłano jednego z pomiędzy nich do Szaramowicza z zawiadomieniem, że partya powstańcza stawiła się według rozkazu.

Szaramowicz na tak upewniający dowód widząc, że już gra rozpoczęta, zawezwał towarzyszy do chwycenia za broń i połączenia się z oddziałem Kułtuckim. Lecz o ile przed manifestem wszyscy gotowymi byli do powstania, o tyle teraz po większej części zaczęli się wahać, tłomacząc Saramowiczowi szaleństwo podobnego kroku. Lojalni ci flegmatycy zapomnieli, że wszelki ruch więźniów choćby tak drobny jak dotychczas, już musiał sprowadzić najsurowszy ucisk winnych czy niewinnych, że więc nie było nic lepszego do wyboru jak powstać z całą siłą. W tym też duchu przemawiał do nich Szaramowicz, dowodząc, że przez powstanie Kułtuskiej partyi, już zostały roztrzygnięte losy więźniów i że odosobienie ich w tej chwili przyspieszy zgubę powstańców, a bynajmniej nie uratuje tych, którzy pozostaną na uboczu. „Moskala znacie! on w zaciekłej zemście wybierać nie będzie“, mówił Szaramowicz — „i my zginiemy i wy się nie ocalicie, dla tego wzywam was obierzcie tę drogę jedyną, jaka nam została“.

Nic jednakże nie pomogły odezwy, zakrzyczano Szaramowicza, a pośród zamięszania, w którem nie można było osiągnąć jedności, stanęły naprzeciw siebie dwa stronnictwa. Ale ponieważ do rozpraw nie było czasu, skończyło się na tem, że ci którzy powstaniu sprzeciwiali się, nie mogąc powstrzymać zapału przeciwników, rzucili się po prostu do ucieczki, chcąc się ukryć nie już przed Moskalami ale przed własnymi towarzyszami niewoli.

Popłoch był nie do opisania, Szaramowicz chciał jeszcze groźbą zmusić niechętnych. *„Podłymi pogarniruję drzewa!“* — wołał w rozpaczy, ale na groźby nie było już czasu; zamięszanie wzrastało, a kozacy słysząc gwar i popłoch więźniów stanęli pod bronią. Wtedy każda minuta stawała się drogą i Szaramowicz nie wiele myśląc zebrał wierną drużynę, uderzył z nią na Moskali, rozbroił i ruszył na spotkanie Arcimowicza.

Kułtucki oddział, stojący o parę wiorst od Murymu, widząc nadchodzących kolegów, wydał okrzyk radości; garstki dzielnych powstańców złączyły się i jednogłośnie okrzyknęły dowódzcą Szaramowicza. W Murymie pozostało stu więźniów licząc w to i chorych. (C. d. n.)

połączony z pewnem zaparciem się osobistem, narażał starostów nieraz na największe nieprzyjemności. Moskale mając jednego przedstawiciela wszystkich, pociągali go za byle co do odpowiedzialności, a ze swej strony koledzy niechcąc dopuścić znęcania się nad niewinnym, postawieni byli w ostateczności przestrzegania porządku a w razie ostatecznym nieukrywania istonie winnych. Tym sposobem zawsze zachowaną była godność, i więźniowie polscy mogli być wzorem taktu, zmuszając wroga do szacunku.

**) Gustaw Szaramowicz, jeden z kolegów kijowskich i towarzysz przy wyłamaniu się z fortecy za pomocą podkopu, (patrz broszurkę „Tunel więzienny“ wydaną we Lwowie w 1868 r. przez autora, również *Dziennik polski.* z tegoż roku w listopadzie).

Gabryel Conroy.

Romans

BRET HARTA.

Tom trzeci.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ XII.

Trzęsienie ziemi w posiadłościach pana Dumphy.

Wiara w samego siebie do takiego stopnia powróciła panu Dumphy, iż rozliczne interesa, które w ostatnich dwóch dniach nie mogły być załatwione, teraz zostały ujęte przezeń „silną ręką“ ku wielkiemu zadowoleniu klientów.

Mglisty poranek nastąpił po jasnej cichej nocy — atmosferyczne zjawisko dość zwykłe w tej porze roku, nie mogące zatem zajmować uwagi pana Dumphy; pomimo to, przyszedłszy do swego bióra uczuł on szczególne ciśnienie powietrza, co go zniewoliło do zdjęcia surduta i chustki z szyi.

Poczta przyniosła mu list od pani Sepulwida, w którym ta zawiadamiała go, iż wskutek nagłego i nieprzewidzianego wyschnięcia źródeł na równinach znaczna ilość jej bydła wyzdychała z głodu i jeszcze ciągle ginie. Miało to ważne znaczenie dla pana Dumphy, ponieważ dał na ten żywy inwentarz znaczne kwoty. Dalej wywiadywała się pani Sepulvida nalegająco o stanie kopalni Conroy, dając do zrozumienia, iż usposobiona jest do wycofania bezwłocznego swych kapitałów. List jej kończył się w sposób następujący:

„Ale prawdopodobnie zobaczę się z panem w San-Francisco. Pepe mówi, że dziś rano przypływ w zatoce doszedł do takiej wysokości, jakiej nie widziano od roku 1800. Nie czuję się bezpieczną tak blisko zatoki.

P. Dumphy cierpko się uśmiechnął. Był czas, w którym zazdrościł Poinsettowi. Byłoby bardzo pożądanem, gdyby ten człowiek, na którego szczęście samo spadało bez żadnych wysileń z jego strony, — gdyby ten wykwintny i zarozumiały Artur Poinsett, który wobec takiego szczęścia okazywał jeszcze największą obojętność, znalazł się zmuszony prosić jego, Dumphyego o radę i pomoc! I to wszystko wtedy gdy właśnie jego rada i pomoc pod względem pretensyi klientki pułkownika Starbottla stały się zbytecznemi. Odwet byłby najzupełniejszy; p. Dumphy w wysokiem zadowoleniu zatarł sobie ręce.

Gdy w kilka chwil potem wręczono mu kartkę pułkownika Starbottle, zadowolenie pana Dumphy było kompletnem. Był to dzień, w którym pułkownik miał otrzymać jego odpowiedź. Leżało jak na dłoni, że Artur ani się z nim nie widział, ani też nie wykrył jego klientki. Sposobność do zbicia z tropu tego człowieka bez pomocy, a nawet bez wiedzy Poinsetta, teraz się przedstawiała. Pomimo to — dla przygotowania się do spotkania — z umysłu spóźniał je i całe pięć minut gość jego miał czas do wypoczęcia w przedpokoju.

Siedział zagłębiony w papierach przy swem biórku, gdy pułkownik Starbottle został wreszcie wpuszczony. Nie podniósł głowy, gdy drzwi się otworzyły i uczynił to dopiero, gdy pułkownik podchodząc lekkim krokiem, stanął przy nim, laskę swą ze zwykłego miejsca pod pachą wziął i położył przed nim na biórku. Twarz pułkownika była purpurowa; pierś pułkownika podniosła się i opadała, jakby groziła pęknięciem; w całości pułkownik robił wrażenie człowieka, zagrażającego wyskoczeniem z pomiędzy guzików własnego surduta. Ale wystąpienie jego i zachowanie się okazywało światowy takt i umiarkowanie.

— Jedna chwila!... jedna maleńka chwilka, panie! — zaczął z cierpką grecznością. Nim przystąpimy do interesu... hm?... poświęcimy jedną chwilę niezbędnemu porozumieniu się... hm! hm!... kartka, która tu przed panem leży, doręczona panu została przed dziesięcią minutami. Pragnąłbym dowiedzieć się, panie, czy rzeczywiście została ona panu doręczona w tym czasie.

— Tak jest, odrzekł Dumphy niecierpliwie.

Pułkownik Starbottle nachylił się nad biórkiem i z zimną obojętnością zadzwonił. Komisant pana Dumphy natychmiast ukazał się we drzwiach.

— Chciałbym — rzekł pułkownik do zdumionego komisanta, cofnąć obraźliwe nazwy, jakie panu niedawno nadałem. Obraza nie pochodzi od pana ale od pańskiego... hm!.. hm!... chlebodawcy, na którego usprawiedliwienie się, teraz czekam. W każdym razie, panie, zawsze jestem gotów panie, stawić się.

P. Dumphy, dał znak osłupiałemu komisantowi by się wyniósł, a potem powiedział ze swobodną ufnością:

— Przykro mi, pułkowniku, bardzo mi przykro, ale byłem nadzwyczaj zajęty i jeszcze jestem. Tu nie ma żadnej obrazy. To wszystko

jest tylko nieporozumienie, pojmujesz pan? Jestem człowiek pracy i mam moje godziny pracy.

— I p. Dumphy wychylił się na krześle i zaśmiał się.

— Miło mi jest słyszeć to, panie, i przyjmuję jego usprawiedliwienie, powiedział pułkownik, odzyskując wesoły humor!

— Co pan masz mnie zaproponować? zapytał nagle p. Dumphy.

— O ile mogę sobie przypomnieć, to przy szklaneczce, podczas ostatniej naszej rozmowy, we własnym domu pana mówiło się coś o propozycyi, która z jego strony ma być zrobiona...

Dumphy podsunął swe krzesło ku pułkownikowi i uderzając go poufale po ramieniu tak zaczął:

— Pan jesteś człowiekiem światowym, Starbottle; jesteś pan gentleman. Ja także... Ale ja jestem przemysłowcem a pan nie. Pojmujesz pan? Pozwól byśmy się należycie porozumieli. Kobieta utrzymująca, że jest moją żoną, nie istnieje — wszystko jest jak należy w porządku... Nie ganię pana bynajmniej, ale pan zostałeś w pole wyprowadzony i t. d. Zebrałem dowody. Teraz, jeżeli powiem panu jako człowiek światowy, jako gentleman i jako przemysłowiec, że gra przepadła, — to mnie pan zrozumie! Niech djabli wezmą cały kram!... No, rzuć pan tu okiem!... (i podał mu do ręki wczorajszy telegram)... mężczyzna już przepadł... *lynch!* a kobieta drapnęła!

Pułkownik Starbottle przeczytał telegram nie okazując ani przerażenia ani strachu.

— Conroy! Conroy! — powtarzał, — nieznam tego człowieka. Nie, panie! To nie tak wygląda! On musiał poprostu zabić tego człowieka!

— I pan nie znasz pani Conroy? zapytał Dumphy, utkwiwszy wzrok w pułkownika.

— Pani Conroy? żona technicznego dyrektora... jedna z najmilszych kobiet!... Boże wielki! ja, panie znam ją!... Diabelnie martwię się o nią! Ale co to ma do naszego interesu? o! do pioruna!... teraz mi się rozjaśnia!... cha, cha, cha! a doprawdy, że to nieźle! cha, cha, cha!

Pułkownik aż zatrząsł się od śmiechu, potem wyjął chustkę i zamachał nią po rycersku.

— Plotki, panie, — zawołał — wszystko liche plotki!.. ludzie muszą przecież... hm!... mieć co do gadania! Śliczna kobieta! Niech mnie wszyscy diabli porwą jeżeli nie była usposobioną do okazania pułkownikowi Starbottle pewnej przychylności.. goddam! panie nie więcej od innych kobiet! więc to taka historya?... hm!... mąż zazdrośny... uśmiercił przeciwnika!... ludzie myślą że ona z pułkownikiem Starbottle drapnęła!... Nie drogi panie!

Pomimo, że niesmaczną i śmieszną była ta niespodziewana dywersya pułkownika, nie mógł Dumphy z niej nie wywnioskować, że pani Conroy nie była tajemniczą klientką jego gościa. Dumphy czuł, że jego naprędce zbudowana teorya została zburzoną, a z nią i jego nadzieje. Zawsze jeszcze zostawał on w mocy tego niepojętego gębacza i niewidzialnej stojącej po za nim potęgi.

— Tylko co powiedziałem — tak zaczął— że pan jesteś oszukany przez kobietę wydającą się za moją żonę. Teraz widzę, że pod względem osoby, o której przypuszczałem, że oszukała pana, sam się omyliłem. Zresztą moja żona może żyć jeszcze. Sprowadź ją pan jutro tu, a fakt uznam.

— Pan zapominasz, że ona nie chce widzieć się z panem — odrzekł pułkownik — dopóki pretensyi swoich nie udowodni w drodze prawnej.

— Dobrze i tak! wszystko dobrze, mój panie! oba rozumimy się. Weź pan teraz na uwagę, że my finansiści, zawsze wolimy mieć stosunki bezpośrednie. Niech pan weźmie dalej na uwagę, że nawet tak daleko zachodzimy, że w tym i owym razie płacimy maklerską prowizyą, a nawet — pojmujesz mię pan — czasami udział w zyskach przyznajemy. Dobrze! Teraz ja mówię panu: sprowadź mi pan tę główną osobę, swoję mocodawczynię — a ja wszystko załatwię!... wiem, wiem, co pan chcesz powiedzieć! pan związany jesteś honorem i t. d. Pojmuję położenie pana jako gentlemana i umiem je ocenić. Więc powiedz mi pan tylko, gdzie mam jej szukać! Zauważ pan dobrze, że pod żadnym względem nie będziesz skompromitowany tem, jakobyś mnie w jakikolwiek sposób na ślad naprowadził. Już ja się postaram, byś pan był należycie zabezpieczony co do prowizyjnej należności od swej klientki. A z mojej strony... jeżeli czek na pięć tysięcy dolarów okaże się panu wystarczającym, to jest na usługi pana.

Pułkownik zerwał się na równe nogi, wyciągnął nagle rękę i zaczął:

— Pozwól mi pan, że naprzód sam sobie powinszuję, że mam do czynienia z gentlemanem i człowiekiem honorowym. Obraz myśli pana do wszystkich piorunów!... wzbudza ku panu szacunek! Jestem dumnym, panie, dumnym jestem, żem poznał pana! Ale z drugiej strony ubolewam, panie, iż muszę mu powiedzieć, że żądanej informacyi nie mogę mu udzielić. Ja sam nie znam ani nazwiska, ani miejsca pobytu mojej klientki.

Wyraz zadowolonego lekceważenia, jaki na początku mowy pułkownika wystąpił na twarz pana Dumphy, przy zakończeniu jej zmienił się w wyraz złośliwego podejrzenia.

— A to z pana wół niezdarny! zawołał tonem tak obrażającym na jaki tylko zdobyć się ośmielił.

Pułkownik Starbottle pozornie nie zwrócił najmniejszej uwagi na te słowa, tylko przysunął swe krzesło do krzesła pana Dumphy i rękę swą położył mu na ramieniu.

— Zaufanie pana — tak zaczął — wymaga równego zaufania i równej szczerości z mojej strony... i do wszystkich piorunów pułkownik Culpepper Starbottle z Wirginii, nie jest człowiekiem co się ukrywa za górą! Jeżeli wynurzam twierdzenie, że sam nie znam ani nazwiska, ani pomieszkania mojej klientki, to sądzę, że nie masz, panie... do wszystkich piorunów!... żadnej żywej duszy na całym bożym świecie... do wszystkich piorunów!... hm! hm! któraby żądała, albo.. hm! hm!... uważała za potrzebne bym twierdzenie to powtarzał! Gdy w imieniu mojej klientki ten prawny wypadek został mi powierzony, wręczono mi jednocześnie zapieczętowany pakiet, zawierający nazwiska mojej klientki i ważniejszych świadków. Wydany mi rozkaz brzmi wyraźnie, że pakiet ten ma być otwarty dopiero gdy wszystkie układy rozchwieją się i nastąpi konieczność traktowania sądowego. Papier ten mam tu — i jak pan widzisz, nie rozpieczętowany!

P. Dumphy mimowolnie wyciągnął rękę. Ale pułkownik Starbottle ze wszelką grzecznością niedopuścił go do dotknięcia pakietu, lecz położył przed sobą na stole i ciągnął dalej:

— Ponieważ według mego zdania niemasz koniecznej potrzeby rozpoczynania procesu... więc wydane mi rozkazy są jeszcze dla mnie obowiązującemi i pakietu nie rozpieczętuję. Jeżeli tymczasowo kładę go tu na stole, a jutro rano zwrócony mi on będzie, tak samo nie rozpieczętowany, to sądzę, panie że jako gentleman i człowiek honoru, nie wykroczę przeciw memu obowiązkowi. Ośmielę się postawić inny jeszcze warunek. Napisz pan, co ja podyktuję.

P. Dumphy wziął pióro. Pułkownik Starbottle wsunął rękę w zanadrze i począł powoli i z namysłem wymierzać długość pokoju z miną jak gdyby wymierzał odległość na placu pojedynku.

— Czyś już pan gotów? zapytał.

— Zaczynaj pan! odrzekł Dumphy niecierpliwie.

— „Ja niżej podpisany, zobowiązuję się niniejszem.. hm, hm.. że w razie jakiegokolwiek wyjawienia przezemnie... hm... poufnych stosunków między pułkownikiem Starbottle a mną, jestem gotów... hm.. dać mu zwykłe honorowe zadosyćuczynienie... hm.. jak to miewa miejsce między gentlemanami, o tej godzinie w tem miejscu i taką bronią, jaką ten pan sam wyznaczy, bez dalszych formalności wyzwania i że.. hm.. hm... jeżeli nie uczynię temu zadość, sam siebie tem samem uznam za kłamcę, tchórza i nikczemnika.“

Dumphy podpisał dokument i wręczył pułkownikowi Starbottle, a ten schował go do kieszeni. Ciągle jeszcze jednak stał tuż koło pana Dumphy.

— A ten... hm. hm... czek — powiedział, lekko kaszlnąwszy — niech będzie na imię pana i przez niego samego żyrowany.. ażeby... hm... wszelkie późniejsze... hm... zwłoki... z drogi usunąć.

P. Dumphy zawahał się na chwilę, wolałby on pierwej poznać to co się w pakiecie zawiera. Ale w końcu z lekkim uśmiechem podpisał się na czeku i wręczył go pułkownikowi.

— Jeżeli to panu.. hm... nie zrobi wielkiej trudności — rzekł znowu pułkownik z całym światowym taktem — to będziesz pan łaskaw z tej samej, tylko co wymienionej przyczyny, ten oto... hm.. papier wręczyć komisantowi dla podniesienia kwoty.

P. Dumphy, którego oczy z ciekawością utkwione były w pakiet, niecierpliwie pociągnął za dzwonek i wręczył czek komisantowi, podczas gdy pułkownik Starbottle z miną jak gdyby cała rzecz bynajmniej go nie obchodziła, dyskretnie podszedł ku oknu.

Przez całe swe dalsze życie pułkownik Starbottle nie przestał gorzko narzekać na ten ostatni akt swej oględności i uczuwać żal, że czeku nie wziął wówczas do kieszeni. Gdy stał tam wydało mu się, że nagle podłoga podnosi się mu pod nogami i znowu opada i sam on gwałtownie został popchnięty ku komisantowi. Czuł niesmak i zawrót głowy. W straszliwej obawie by nie doznać ataku apopleksyi zwrócił się ku panu Dumphy, który zerwał się z krzesła i z równie przerażoną wybladłą twarz starał się znaleźć punkt oparcia przy swem biórku.

W następnej chwili szafa z książkami z trzaskiem upadła na podłogę, brzęk przeraźliwy rozległ się w kantorze i wśród hałasu i tupania nóg, pękającego szkła i łamiących się belek wspólnym instyktem powodowani, oba przybiegli ku drzwiom. Otworzyły się one na dwa cale, a dalej ani sposobu.

Z rykiem dzikiego zwierza rzucił się p. Dumphy ku oknu wychodzącemu na ulicę. Na-

stępnej chwili pułkownik Starbottle znajdował się już przy nim na chodniku.

Środek szerokiej ulicy zapełniony był tłumem zadyszanych, wybladłych — i śmiertelnie wystraszonych ludzi, w których zamarły wszystkie inne uczucia, wyjąwszy wspolnego zwierzętom uczucia własnej obrony. Tu stali ludzie histerycznі bez żadnego powodu głośno śmiejący się, tam nieme milczące istoty bezrozumnie szukające schronienia pod gzymsami i kominami. Tam biegły żywe automaty niosąc, z sobą niedokończone roboty, jeden papiery, drugi księgę. Tam pędzili ludzie, którzy utracili wszystkie zwykłe pojęcia o przyzwoitości; wielu na pół zaledwie ubranych, jeden wyskoczywszy z łaźni ręcznikiem jak mógł nagość swoję okrywał. Byli ludzie, którzy z obawy śmierci, prosto śmierci w paszczę się rzucali, jeden skoczył z dymnika na dach, a drugi z czwartego piętra. Odważni drzeli jak dzieci. Jeden, którego dotychczasowe życie przechodziło wśród niebezpieczeństw, strachem zdjęty chował się w kąt pokoju. Byli tam ludzie pełni nadziei, wierzący w to, że gdy niebezpieczeństwo raz przeminie, to wskutek tajemniczego prawa natury nie wróci więcej, a znowu inni, którzy potrząsali głowami i oświadczali, że następna chwila będzie jeszcze straszniejszą. Gęste grupy otaczała kurzawa, roznosząca się z dachów i gzymsów; zgromadzono się do koła rozbieganych koni, które tak samo zastraszone, jak ich poganiacze, rozbijały sobie głowy o latarnie. W dalszych ulicach i zaułkach, pomieszkania były opuszczone, ludzie siedzieli na progach domów, w obawie tych samych domów, które własnemi pobudowali rękami.

Rzeczywista strata w życiu i mieniu była tak małoznaczną, że w pół godziny potem wśród wielkiego tłumu przeważało tylko uczucie śmiechu.

P. Dumphy, jak wszystkie natury praktyczne i nie unoszące się fantazyą, był jednym z pierwszych, którzy po ustaniu niebezpieczeństwa odzyskali przytomność. Ludność odzyskała zaufanie gdy wielki ten człowiek, mający tyle do stacenia, wszedł znowu do biura i energicznemi wyrazami zawezwał swych oficyalistów i w ogóle wszystkich, ażeby znowu powrócili do swych zajęć.

Bezwłocznie przybliżył się do swego stołu. Ale pakietu nie było! Pośpiesznie przerzucił papiery... szukał na posadzce... zaglądał przez otwarte okno — niema!

Zadzwonił — wszedł komisant.

— Czy czek już wypłacony? zapytał.

— Nie panie, właśnie odliczamy pieniądze...

— Nie płacić!... przynieś mi czek! potem pójdziesz do kancelaryi pana Poinsett, i poprosisz go, by zaraz przyszedł do mnie.

W kilka chwil komisant powrócił zadyszany.

— Pan Poinsett przed kwadransem wyjechał do San-Antonio, powiedział.

— San-Antonio!

— Tak jest, panie... powiedziano mi, że otrzymał złe wiadomości z misyi.

Koniec tomu trzeciego.

Tom czwarty.

ROZDZIAŁ I.

Sprawiedliwość wywraca się.

Dzień, który nastąpił po dokonaniu morderstwa na Wiktorze Ramirezie był dniem niesłychanego wzburzenia w One horse gulch. Nie dla tego by zabicie człowieka było w tej miejscowości szczególnie rzadkim wypadkiem, owszem nie jednego już tam obywatela uśmiercono, a w tym razie ofiarą był cudzoziemiec, który nie wzbudzał żadnej osobistej sympatyi, ale że podejrzenie nagle padło na dwie tak szanowne osobistości jak pan i pani Conroy. Ta to mianowicie okoliczność sprawiała, że roztrząsano zbrodnię z gorączkowem zajęciem. Przez dwa dni handel i wszelkie obroty poszły w zaniedbanie.

Wykrycie morderstwa dokonane zostało przez Sal. Namiętna dziewica na drugi dzień po dokonaniu zbrodni wybrała się rano na przechadzkę do Conroy Hill, w zamiarze wyszukania człowieka, który dnia poprzedniego na noc do hotelu nie powrócił i w drodze natrafiła na trupa nieszczęśliwego Wiktora. Niektórzy próżniaczy wydrwiwacze, nie pojmujący interesu, jaki ten młodzieniec w pannie Clark wzbudził, przebąkiwali, że Ramirez własnowolnie wyniósł się z tego świata, ażeby uniknąć czułych względów damy; ale wszystkie podobne żartobliwe przypuszczenia ustały, jak tylko dowiedziano się, że Gabryel i żona jego umknęli. Potem nadeszła wiadomość, że tego samego poranku jeden przechodzący górnik widział Gabryela kłócącego się z cudzoziemcem, że tenże Gabryel pochwycił go za kołnierz i gwałtownie zepchnął ze ścieżki. Potem nastąpiło zeznanie panny Clark, jako na krótko przed dokonaniem mordu widziała panią Conroy kryjomo rozmawiającą z Wiktorem; potem zeznanie Chińczyka, którego Gabryel posyłał z listem, a który spiesząc według zlecenia, słyszał po drodze sprzeczkę i głośne wołanie o pomoc w krzakach na wzgórku. To jednak zeznanie, na mocy sławnych ustaw kalifornijskich, orzekających, że bałwochwalca musi być kłamcą i że prawda przebywa wyłącznie tylko w piersiach chrześcian rasy kaukazkiej, usunięte zostało z sądowego dochodzenia i przez opinię publiczną nie uwzględnione. Potem nastąpiło zeznanie robotników przy tunelu, którzy wieczorem widzieli Gabryela wchodzącego na wzgórek, a po kilku minutach powracającego ztamtąd.

Tylko jedno ważne świadectwo pozostało nieznanem ani publiczności ani władzom, a mianowicie owa kartka pani Conroy, którą Sal podniosła i pani Markle wręczyła, a którą taż wnet przesłała adwokatowi Maxwellowi.

Z tuzin, lub może więcej teoryi o powodach zbrodni zajmowało i rozburzało umysły w rozmaitych porach dnia. Pierwszą była, że Gabryel zeszedł swą żonę z kochankiem w chwili, gdy oboje umknąć zamierzali i kochanka bez dalszego zachodu sprzątnął. Że Gabryel, podrobiwszy pismo swej żony, zwabił go na schadzkę i następnie wywarł na nim swą zemstę, to już później przypuszczono. Że Gabryel wspólnie z żoną ukuł ten plan, ażeby pozbyć się dawniejszego jej kochanka, który teraz zagrażał rozmaitemi wykryciami, to było jeszcze późniejszym domysłem.

Wieczorem wszakże zgodzono się w ogólności na to, że Gabryel i pani Conroy usunęli z drogi człowieka, który o tyle był dla nich niebezpiecznym, że miał zamiar dochodzenia swych legalnych i popartych dowodami pretensyj do owej żyły srebra, o której Gabryel utrzymywał, że sam ją odkrył. Przypuszczenie to przeważało czas pewien — właściwie dwie godziny — i powszechnie podobało się. Następnie teoryą tę zmodyfikowano w ten sposób, że Wiktor nie był właściwie prawomocnym posiadaczem, a tylko nadzwyczaj niebezpiecznym świadkiem, którego małżonkowie Conroy uznali za niezbędne usunąć z drogi.

A gdy w końcu, na podstawie oświadczenia, które w nieoględnej chwili wyrwało się z ust adwokatowi Maxwellowi, głośnem się stało, że Gabryel Conroy jest oszustem, noszącym fałszywe nazwisko, wszelkie dalsze łamanie sobie głów uznano za zbyteczne. Przysięgli przy oględzinach trupa wydali wyrok na „Johna Doe, alias Gabryela Conroy.“ Parę wypadków kradzieży koni i zrabowania sąsiednich przemywaczy złota w sposób nieokreślony, ale jednak wyraźny przyplątano do tego odkrycia.

Zaledwie, potrzeba tu nadmienić, że była w One horse gulch jedna osoba, która ani na chwilę nie zwątpiła o niewinności Gabryela, a mianowicie pani Merkle przekonana, że Gabryel był ofiarą niegodnego spisku, że właściwie winną była pani Conroy, która w szatański sposób umiała zwalić winę na swego męża.

„Zeznania panny Clark — pisał „Silveropolis Messenger“ — chociaż od czasu do czasu przerywane westchnieniami i wykrzyknikami na mordercę, żywe wywarły wrażenie na przysięgłych, jako naturalne wynurzania się istoty, która była połączona najczulszemi więzami z nieszczęśliwą ofiarą. Mówiono, że jest to dawna znajomość Ramireza, który teraz przybył w nadziei otrzymania zezwolenia na szczęśliwe zakończenie długiego nowicyatu narzeczonego, gdy nikczemna ręka mordercy przemieniła wieniec ślubny w żałobną zasłonę.“

Pozwoliłem sobie powtórzyć tu ten wyciąg, dla jego poetycznej elegancyi i ponieważ przedstawia on wybitną sprzeczność z niedelikatnem omówieniem położenia rzeczy przez „One horse gulch Banner,“ który tak się wyraził:

„Sal bynajmniej nie była znękaną podczas zeznań. Otulona w dziesięć łokci najlepszego muszlinu glacé od Brigga, z całą górą siatek na głowie, miotała się ona wśród grupy świadków jak spłoszony koń karawaniarski. Jeżeli Sal ma na seryo zamiar noszenia żałoby po każdym człowieku, któremu podawała siekane kotlety, to radzimy jej, by zakupiła cały skład towarów Brigga, a od Pat Hoolana wynajęła na cały rok karawan.

„Wielu ludzi wyraźnie podziela to zdanie, że cała ta teatralna farsa jest postawiona na scenę przez „Messenger“ w celu ukrycia prawdziwych powodów zbrodni. Wszyscy prawie utrzymują, że powodów tych szukać należy między osobistościami wyższego społecznego znaczenia, aniżeli Sal. Nie chcemy wymieniać żadnego nazwiska, lecz chcielibyśmy bardzo wiedzieć co miał do czynienia redaktor „Messenger“ wczoraj wieczorem koło godziny dziesiątej w kawiarni z jednym z wysłanników Piotra Dumphy. Może przeglądał jego bankowy rachunek, co?“

O pierwszej godzinie po południu tegoż samego dnia redaktor „Messenger“ strzelił do redaktora „Banner“ i chybił. O pół do drugiej w składzie towarów Brigga, w skutek wynikłego sporu, dwaj ludzie zostali ranieni pistoletowemi strzałami — powody tego nie zostały należycie wyjaśnione. O dziewiątej godzinie pół tuzina ludzi weszło z ulicy na wyższe piętro domu, w którym znajdował się skład Brigga. W dziesięć lub piętnaście minut później wsunęło się tamże w sposób równie obojętny znowu z tuzin lub więcej ludzi z rozmaitych szynków; o pół do dziesiątej zebrało się na piętrze około pięćdziesięciu. W tym

samym czasie inne nie wielkie towarzystwo, zdaje się tak samo przypadkowo i bez żadnego określonego zamiaru znalazło się naprzeciw dwupiętrowego kamiennego domu, w którym mieścił się trybunał i do którego przeprowadzono więźnia. O dziesiątej koń w szalonym pędzie wpadł do miasta i runął na cztery nogi przy pierwszych domach. W kilka chwil potem jakiś człowiek jak opętany przebiegł przez plac ku trybunałowi. Był to Jack Hamlin. Ale „trzy głosy“ uprzedziły go i ze stopni trybunalskiego domu grzmiał już mandat ludu.

Skierowany on był ku jednemu tylko człowiekowi, który opuszczony przez wszystkich przyjaciół, w ciągu ostatnich dwunastu godzin, siedział przy więźniu straży swej powierzonemu ku Joemu Hall, szeryfowi z Calaveras! Przewidział on, że otrzyma podobne wezwanie i czekał na nie po za zaryglowanemi drzwiami, z pistoletami za pasem, ale bez nadziei w sercu. Był to człowiek pojęć ograniczonych, nie rozumujący; miał on jedno tylko postanowienie: zginąć przy tych drzwiach w obronie prawa, którego przestrzeganie powierzono mu z urzędu przy ostatnich wyborach większością wynoszącą pięćdziesiąt głosów. O ile sobie przypominam, Joe był to mały, niepokaźny, ruchliwy człowiek, nie posiadał spokoju jaki nadaje przeświadczenie o własnej sile. W tej stanowczej chwili przeżuwał on tytuń i często spluwał, końce swej rzadkiej brody kręcił w palcach i oglądał zamki swych pistoletów. Potem stanął przed Gabryelem i powiedział:

— Czy słyszysz pan? nadchodzą!

Gabryel skinął głową. Przed dwiema godzinami, gdy uwiadomiono go o zamierzonym napadzie, napisał on do adwokata Maxwella parę wierszy, które powierzył szeryfowi. Potem wpadł znowu w zwykłą swą zadumę.

(C. d. n.)

Z DZIEJÓW UNII

przez

JULIANA BARTOSZEWICZA.

(Wyjątek z niedrukowanego dzieła.)

ROZDZIAŁ XIX.

Car Piotr i jego tolerancya.

(Ciąg dalszy.)

Car Piotr lubił rozrywki barbarzyńskie. Że się często upijał, o tem wie nawet ta Europa, która pisze opery. Tyle erudycyi z historyi moskiewskiej jej zostało. Ale taką niewinną rozrywką się bawić może każdy car, który zechce. A Piotr niepospolitym był carem, musiał więc i w niepospolity sposób się zabawiać. Kościół katolicki i jego hierarchia dostarczały mu wątku. Tutaj zawsze przewodniczył mu dziki instynkt zwierzęcy, ten instynkt, którego przełamać w sobie i nie chciał i nie mógł, nienawiść, która w wielkim tolerancie, utrzymującym stosunki z Sorboną, podwójnie, potrójnie raziła. Miasto Moskwa uncsiło się nad mądrością carską kilka razy, gdy oglądało wybryki jego barbarzyństwa, które i jej się także podobały. Car swoim błaznom i bojarom, co na jedno wychodziło, bo przy takim Piotrze wszystko błaznować i podlić się musi, kazał czasami dla uciechy swojej i ludu, udawać kolegium kardynałów około papieża. Wierni poddani służyli więc za błaznów, bo byli carscy ciałem i duszą, jak jenerałowie, metropolici, cała służba. Moskal, kiedy car go bije, czy znieważa, zawsze służy. Carowi potrzeba dla rozmaitości, dla jakiegoś ruchu w życiu, dla zdrowia, rozgniewać się niekiedy, pożartować. Moskal, czy do jednego, czy do drugiego daje powód carowi, służy zawsze ojczyźnie i wszystko policzone mu będzie w moskiewskiem niebie.

W uniesieniu więc nieraz pijackiej wesołości, car stroił wiernych swoich poddanych w cudackie suknie czerwone i w kapelusze, które miały naśladować kardynalskie; zasadzał ich na osłów tyłem do głowy i kazał tryumfalne całemu orszakowi odbywać wjazdy do Moskwy, Moskale wiernie, sakramentalnie, powpisywali do kronik swoich i zapisek te wjazdy, żeby nie ginęła pamięć carskiej wesołości. Ile ich było, niech to Moskal który w monografii historycznej policzy; my nie szukając umyślnie, natrafiliśmy na kilka takich opisów. Widział jeden podobny wjazd, może ostatni, kardynałów carskich do Moskwy, jeden z synów nieszczęśliwej Ukrainy zadnieprskiej, potomek hetmana humańskiego Haneńki, towarzysząc do Moskwy Skoropadzkiemu na obchód uroczystego podniesienia caratu do stopnia cesarstwa. Chciał Piotr, żeby i Ukraina poznała tę nową jego dostojność, dlatego hetman pojechał na uroczystość i wziął z sobą Haneńkę. Pamiętny wielki dzień w historyi swojego narodu, car obchodził wjazdem błaznów postrojonych za kardynałów. Lud biegł za widowiskiem i żartował; to też wszystko w tym obrzędzie skierowane było ku sponiewieraniu, ku wyszydzeniu kościoła katolickiego. Na takich widowiskach zaprawiał się wiekami moskiewski fanatyzm do nienawiści, jaką dzisiaj oddycha. Haneńko opisał ów wjazd kardynalski do Moskwy r. 1722, i zgrozo! nie znalazł ani jednego słowa potępienia, ani jednego gestu pogardy dla zabaw carskich, tak w nim już wszystkie uczucia szlachetne były stępiały długoletnią kraju niewolą. Czemże byli wtenczas Moskale, kiedy takim widzimy syna wolnej Ukrainy, krew zaporożską? Piotr w r. 1722 był już na schyłku życia, mądrości i sławy, a jeszcze nie wytrzeźwiał z instynktu, chociaż tyle razy Europę widział; jeszcze to był zupełny barbarzyniec. Instynkt odbierał mu samo uczucie wstydu, choć o jego zabawach głośno wówczas mówiono w Europie i każdy własnemi oczami oglądał barbarzyństwo.

Car Piotr za czasów szczęśliwszych swojej młodości udawał w podobny sposób, przedrzeźniał królów europejskich. Może tego pod koniec życia się wstydził i tylko nie przebaczał następcy Piotra św. Bywało tedy dawniej, że car stroił niekiedy błaznów swoich w inne cudackie stroje i kładł im na głowy papierowe korony; jednego bojara przezywał hiszpańskim królem, drugiego francuskim, trzeciego polskim itd. Sam wtedy przyjmując udział w uroczystości, zasiadał na tronie, a tym królom swojego wyboru i stroju rozkazywał, żeby się czołgali przed nim i hołd mu oddawali. Wlekli się wtedy na klęczkach do nóg swojego władzcy królowie, korony zrzucali i czołem bili przed moskiewską wielkością. Cieszył się car przynajmniej idealnym, kiedy nie mógł rzeczywistym obrazem.

Car barbarzyniec bił knutami swoich władyków, kniaziów i bojarów, nawet kobiety, w przystępie gniewu albo złości. Wymyślił nowy oryginalny kodeks postępowania kryminalnego. Kiedy naprzykład kogo na śmierć skazywał, wyrok stosownie do wielkości winy jeden lub drugi kat wykonywał więcej lub mniej dostojny. Były więc wszędzie, były i tu rangi przestępców i przestępstw. Największy był stopień kary i na najpospolitszym dokonany zbrodniarzu, kiedy car kazał ściąć kogo prostemu siepaczowi swojej cywilizacyi. Jeżeli chciał skazanego uradować, uszanować w nim krew i stopień, wtedy polecał wykonanie wyroku porucznikowi gwardyi. Kiedy zaś chciał winnemu pozwolić, żeby za życia jeszcze ujrzał niebiosa, wyrok śmierci wykonywał sam kapitan gwardyi. Tym porucznikiem był Menszyków, najdostojniejszy ulubieniec carski z lokaja, tym kapitanem był sam car, imperator, Wielki Piotr Alexiejewicz. Car i ulubieńcowi i sobie nadał nazwiska i stopnie, pod któremi znały ich Petersburg i Moskwa. Pisał sobie ukazy, że w nagrodę za świetny czyn, za to i owo Piotr Michajłów (takie było carskie nazwisko przybrane) posunięty został na wyższy stopień wojskowy. Najwyższemi dostojnościami były porucznikostwo i kapitaństwo gwardyi. Porucznik był jeden i kapitan jeden. I Menszyków więc i car ścinali głowy sami i sami wieszali w Moskwie, oczywiście dla tego, żeby lepiej trawić mogli, dla rozweselenia umysłu po pracach urzędowych dostojnej władzy. Barbarzyńskie prawdziwie uciechy!

Car religiant, więc uczonym swoim zaleca poprawić przekład biblii słowiańskiej i psałterza używanego w liturgii. Władzą swoją nowy przekład za kanoniczny ogłasza, co w kościele katolickim, tylko najwyższej duchownej władzy przystało.

Car komunista podnosi tę zasadę i u siebie i w Polsce, że co porwie, to jego. Więc sprzymierzeńcowi swojemu Augustowi Saskiemu w Polsce chciał zrabować Warszawę i unieść z niej pomniki i pamiątki narodowe. Nie podobał mu się szczególniej Zygmunt III. na słupie, przypominający ową chwilę, w której Moskwa mogła być pod tchnieniem rządu polskiego i swobodną i szczęśliwą.

Car tolerant, z sorbońską umawiający się akademią o sojusz wiar, własną ręką, upiwszy się, morduje pięciu księży unickich w Połocku, u stóp ołtarzy, w cerkwi, za to, że unici. Okropne są szczegóły tego morderstwa dzikiego, tatarskiego. Edward Raczyński wypuścił je ze swojego wydania Erazma Otwinowskiego. Wielki car przejął metodę Boreckiego i mieczem nawracał. Źle powiedzieliśmy, że przejął metodę, bo owszem Ruś nasza, opłatana przez Moskwę, w Boreckim raczej przejmowała metodę moskiewską, którą car Piotr później wydoskonalił. Jakoż nie przestał na jednem morderstwie i Zabokrzyckiego, władykę łuckiego, że przyjął unią, na śmierć po tyrańsku zamęczył. Wydał nieszczęśliwego władykę Moskwie synowiec, przez zazdrość z powodu sporu o majętności. Komendant kijowski, Moskal, bił Zabokrzyckiego po twarzy, starca z koroną siwizny na głowie, a car (było to już po zwycięztwie pułtawskiem) uwiózł biskupa do Moskwy i skazał na długie, ciężkie a bezkrwawe męczeństwo. Używał go do chędożenia najpodlejszych rzeczy, do kuchni i garnków, do piłowania drzewa; nieszczęśliwy miał siermięgę grubą, posłanie twarde. Co się to nastarali biskupi ruscy i Bazylianie, żeby Zabokrzyckiego z niewoli wyswobodzić, na nic wszystko. I król August II. pisał z prośbą do cara, listy są w Theinerze. Marszałek w. lit. Wołłowicz wielu jeńców polskich czasu swego posel-

stwa z moskiewskiej niewoli uwolnił, ale żadną miarą nie mógł wydobyć męczennika, który umarł z niedoli i prześladowań w Moskwie w r. 1715. To już nie proste barbarzyństwo, ale złe tyrańskie serce. Tu na Rusi, w unii, powiadamy, kościołowi szukać wyznawców swoich i męczenników. Miał car tolerant czuć poszanowanie jakie dla lat, dla powagi urzędu biskupiego u biednych unitów, on, który swoich władyków za sługi najpodlejsze uważał?

Car komunista, bo raz wychodząc z wojskiem z Polski, kazał Moskwie swojej brać z Polski „chłopów i parobków, żeby było jak napełnić w Moskwie ludem na to miejsce, co przez tę wojnę wyginęło Moskali.“ I wyprowadziło wtenczas żołdactwo cara Piotra z Polski młodzieży moc niezliczoną, a brało w dodatku konie i woły (Erazm Otwinowski pod r. 1711). Nie dosyć na tem, uwoził car w głąb Moskwy, na Sybir Polaków, już nietylko szlachtę, ale i senatorów. Nie Repnin, ale Piotr pierwszy wywoził biskupów. Najoczywistszy komunizm! Wszystko było jego, czego tylko się dotknął, co mu stało na drodze. Po Ukrainie zadnieprskiej kolej przyszła na Polskę dźwigać kajdany moskiewskie. I poszli na pustynie Sybiru: Zieliński arcybiskup lwowski, prymas Stanisława Leszczyńskiego, Wiśniowiecki hetman i Siennicki miecznik litewski. Cóż mówić o drobniejszych gniewu carskiego ofiarach? Kośćmi polskiemi wybrukowane są mogiły Sybiru. Konfederaci barscy spotykali tam już potomków, wnuków swojej braci, szlachty polskiej.

Polska była wtedy w zupełnem rozprzężeniu socyalnem, car na szczycie szatańskiej władzy. I nie byłaż w takiem położeniu rzeczy, cała Polska dla niego ofiarą? Car Piotr więc nietylko naród mordował, ale i psuł jego charakter, robił go winowajcą, uczył go upodlenia się i hańby.

Car Piotr zaczął pierwszy wmawiać w Polskę wielkie zbrodnie, jakie sam popełniał, zbrodnie zawsze straszne niesprawiedliwości i gwałtu. Car twierdził, a prawosławna, urzędowa Moskwa do dziś dnia jest kłamstwa tego posłusznem echem. Car Piotr bawił się Polską, jak łupieżny kot myszką, którą trzyma w pazurach. Do barbarzyństwa przyłączył szyderstwo, naigrawanie się, nikczemność. Duch cara Piotra ukształcił całe pokolenia Moskwy aż do nas.

Trudno oderwać się tu i skończyć, tak przedmiot bogaty, tak wiele daje do myślenia, tak obfite zostawia nauki. W każdym razie winniśmy byli nakreślić chociaż lekki szkic barbarzyńcy, który na nieszczęście nasze i Moskwy razem, bo ją w coraz większą wtrącał przepaść, przyszedł budzić u nas trupa schizmy.

(C. d. n.)

DOSYĆ.

(Urywek z pamiętników artysty.)

Turgeniewa

przełożyła

GABRYELA GRODNICKA.

(Dokończenie).

XIII.

Czyż więc nie ma wielkich idei, wielkich pocieszających słów: „Narodowość, prawo, wolność, ludzkość, sztuka?“ Tak; te słowa istnieją i wielu ludzi żyje niemi i dla nich. A jednak, mnie się zdaje, że gdyby Szekspir urodził się po raz drugi, on by się nie zaparł swego Hamleta, swego Lira. Jego przenikliwe oko nie odkryłoby nic nowego między nami — przed nim rozwinąłby się zawsze ten sam obraz, różnobarwny a w treści bez związku, przerażający jednostajnością swoją. Taż sama lekkomyślność i toż okrucieństwo, ta sama żądza krwi i złota też same godne litości roskosze, też bezmyślne cierpienia w imię... no, choćby w imię tego głupstwa, które Arystofanes ośmieszył przed dwoma tysiącami lat — też same przynęty, na które łapie się równie łatwo jak przez wiekami tysiącogłowy potwór—ludzka czerń; to samo wydzieranie sobie władzy, taż umiejętność zginania karku, zasmakowanie w niewoli, taż nieodzowność i naturalność fałszu—słowem, też same skoki wiewiórki, po starem nawet nieodnowionem kole... Szekspir kazałby Lirowi znowu powtórzyć swoje okrutne: „nie ma winnych“ co, innemi słowy znaczy: „nie ma i zasłużonych“ i także by powiedział: dosyć! i także by się odwrócił. Jedno chyba tylko: w miejsce ponurego, tragicznego tyrana Ryszarda, szyderczy geniusz wielkiego poety zapragnąłby nakreślić typ inny, odpowiedniejszy współczesnym stosunkom: typ tyrana, gotowego uwierzyć we własną łagodność i cnotę, smacznie sypiającego po nocach, lub łechcącego podniebienie wykwintną ucztą wówczas, gdy konający z jego rozkazu słodzą sobie męczarnie nadzieją, że ich prześladowcę dręczą jak Ryszarda IIIego zakrwawione widma pomordowanych przez niego ofiar.

Ale na co?

Na co dowodzić — i to jeszcze dobierając i ważąc słowa, zaokrąglając frazesy — na co dowodzić owadom, że one są rzeczywiście owadami?

XIV.

Ależ sztuka?... Piękność? Tak, to wielkie słowa — myśl w nich nawet głębsza niż w poprzednio wspomnianych. Czyż Wenus Medycejska nie stoi nieskończenie wyżej od prawa rzymskiego, lub teoryi z 89-go roku? Ktoś mi może zarzucić (a ileż razy już słyszałem takie zarzuty!) że i sama piękność jest względną, że inne ma o niej pojęcie Chińczyk, a inne Europejczyk. Ta różność poglądów na istotę piękna nie zmienia mojego zdania — odwagę i wiarę odbiera jedynie to, że „umrzeć musi i piękno, co ludzi i bogów zwycięża.“ Sztuka w danej chwili jest wznioślejszą od samej przyrody, bo w naturze nie brzmią symfonie Beethovena, nie czarują obrazy Ruysdaela, ni poemata Göthego i sami tylko bezmózgowi pedanci, lub niesumienne gaduły śmią twierdzić, że sztuka naśladuje naturę. Mimo to siły przyrody są niezwalczone; bez pospiechu, spokojnie, prędzej czy później ściągają one zewsząd swój podatek. Bezwiedna, a nieugięta niewolnica praw, natura nie zna sztuki, jak nie zna swobody, jak nie zna cnoty; od wieków ruchliwa i zmienna, nie znosi niczego, co trwa niezmiennie, co by było nieśmiertelnem. Człowiek jej dziecięciem, ale jego dzieła, dzieła sztuki — wrogie matce naturze, bo się siłą na to, by trwać wiecznie, by nie umierać. Człowiek dziecię przyrody: ale ona dla wszystkich z jednaką miłością — nie ma ulubieńców; nie wyróżnia nikogo; wszystko co istnieje w jej łonie zawdzięcza swe życie śmierci drugiego i w swoim czasie innym ustępuje miejsca; natura tworzy, burzy, a obojętnem jej co burzy, co ożywia — byle tylko nie przedłużało się panowanie życia, byle tylko śmierć nie traciła praw swoich... i dla tego z równym spokojem pokrywa pleśnią przydrożny kamień, jak i boskie kształty Fidyaszowego Jowisza lub rzuca na pastwę lekceważącym mółom drogocenne Sofokla strofy. Prawda że ludzie pomagają jej zazdrośnie w dziele zniszczenia, ale czyż nie siła to przyrody, owa siła opiewana w legendach, uzbroiła palec barbarzyńca, gdy kruszył bezmyślnie promieniste czoło Apolla, gdy palił obraz Apellesa? Nam że to, biednym artystom walczyć z tą głuchoniemą, ślepo rodzącą siłą, która nawet nie święcąc swych tryumfow wciąż idzie, idzie naprzód — pochłaniająca wszystko; w naszej-ż to sile oprzeć się tym gwałtownym, ciężkim, bez końca i bez ustanku roztrącającym nas falom, lub uwierzyć w wielkość i znaczenie tych znikomych postaci, które tworzymy w ciemnościach na brzegu przepaści — z prochu i na jedną chwilę?

XV.

Wszystko tak... ale „tylko to co przemija jest pięknem“, powiedział Szyller; i sama natura w nieustannej grze rodzących się i niknących kształtów, nie unika piękna. Czyż nie zdobi najtroskliwiej te z swoich dzieci, których życie jednodniowe? Nie malujeż czarownemi barwami listki kwiatów, skrzydła motyle? Nie dajeż im skończenie doskonałych, artystycznych form? Piękność nie potrzebuje żyć bez końca by być wieczną, jej dość jednej chwili. Tak; i to sprawiedliwe, ale tam tylko, gdzie nie ma osobistości, nie ma człowieka ni swobody; zblakłe skrzydło motyle po tysiącach lat zabarwia się znowu i znów wiesza u tułowia motyla; tu Konieczność toczy swe koło surowo, prawidłowo, bezosobiście... ale człowiek nie odnawia się jak motylek i dzieło jego rąk, swobodny twór jego geniuszu, raz zniszczony, ginie na zawsze... Jemu jednemu wolno „tworzyć...“ ale dziwnie i strasznie wymówić: my twórcami... na godzinę — jak według podania był ongi ów kalif, co panował godzinę. W tem nasza wyższość i nasze przekleństwo. Każdy z tych „twórców“ jest istotnie sobą nie drugim, czuje swą samodzielność, jak gdyby przed jego urodzeniem ręka wyższa nakreśliła mu plan życia, wytknęła cel, do którego dążyć musi; każdego mniej lub więcej boli myśl, że choć czuje się nieśmiertelności synem, przeznaczenie każe mu żyć chwilę tylko i dla chwili.*) U szczytu duchownej potęgi stoją ci z pomiędzy nas, którzy głębiej od innych czują tę fundamentalną sprzeczność w ustroju człowieka, tą śmiertelną walkę ducha z naturą — ale w takim razie pytam, rozumne-ż to słowa: wyższy, wielki?

XVI.

Cóż powiedzieć o tych, do których mimo chęci, nie można zastosować nazwy „wielki“ nawet w tem ograniczonem znaczeniu, jakie jej nadaje słaby język ludzki? Cóż powiedzieć o zwykłych tuzinkowych, drugorzędnych, trzeciorzędnych pracownikach, czembądź by byli: mężami stanu, uczonymi, artystami — a głównie artystami? Czem ich zniewolić do otrząśnięcia się ze zmory lenistwa, z bolesnego zwątpienia — jak ich przyciągnąć znowu na pole walki — jeśli w ich głowy zakradła się myśl o nicości wszystkiego, co ludzkie, o bezużyteczności każdej

*) Mimowolnie nasuwają się tu słowa Mefistofelesa do Fausta:

„Er (Gott) findet sich in einem ewgen Glance
Uns hat er in die Finsterniss gebracht,
Und euch trugt einzig Tag und Nacht.“

pracy stawiającej sobie cel wyższy nad zdobycie codziennego chleba! Jakiemiż wieńcami przynęció tych, dla których i laury już i ciernie zarówno obojętne? Na cóż znowu mają narażać się na szyderstwa „chłodnego tłumu“ lub „sąd głupca“ — starego głupca, nie mogącego im przebaczyć, że się odwrócili od dawnych bałwanów — młodego głupca, wymagającego, by wraz z nim padali na kolana przed nowokreowanemi bożyszczami? Po cóż pójdą znowu na to targowisko złudzeń, na ten gwarny rynek, gdzie sprzedawcy i kupujący oszukują się wzajemnie, gdzie wszystko tak huczne, hałaśliwe, a tak biedne, tak głupie? Na cóż mają „z niemocą w kościach“ cisnąć się na nowo w ten świat, w którym narody jak dzieci w święto, tarzają się w błocie za garść pustych orzechów, lub z otwartemi z podziwu ustami wpatrują się w złocone obrazy— w ten świat, gdzie żyje tylko to, co nie ma prawa do życia, gdzie każdy ogłuszając się własnym krzykiem spieszy gorączkowo do nieznanego, niepojętego dlań celu?

Nie... nie... Dosyć... dosyć... dosyć.

XVII.

The rest ist silence . . . . . .

. . . .

Piśmiennictwo polskie.

W stuletnią rocznicę ogłoszenia niepodległości Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej. Benjamin Franklin. Jerzy Waszyngton. Żywoty opracowane przez Zygmunta Sawczyńskiego. Lwów 1876.

Rzecz to uznana powszechnie jeszcze od czasów Plutarcha, że nic tak silnego wpływu nie wywiera na kierunek moralny młodzieży, jak czytanie żywotów, naturalnie jeżeli te nie stanowią tylko suchego zbioru faktów i dat, ale są okraszone zajmującemi przygodami i w ogóle z życia opisywanego bohatera wybierają jak najwięcej materyału, który może służyć za pokarm dla młodzieńczej ciekawości. Żywoty to świętych w początkach wieków średnich zapalały młodzież uczącą się w klasztorach do życia pokutniczego i szukania palmy męczeńskiej, podczas gdy opowiadania o Karolu Wielkim i jego paladynach zagrzewały młodzież rycerską do awanturniczych i wojennych czynów. Każdy wiek miał swoich wielkich ludzi, którzy stawali się ideałami następujących pokoleń, jeśli tylko ich czyny były żywo przedstawione czy to przez ustną tradycyą, czy w żywotach pisanych, i jeśli inna jakaś olbrzymia postać prędko po nich następując nie zatarła ich czynów w pamięci nowego pokolenia.

Wiek dziewiętnasty nie znalazł by dla siebie szczytniejszych i idealniejszych wzorów nad postacie Benjamina Franklina i Jerzego Waszyngtona, które streszczają w sobie wszystkie jego szlachetniejsze dążenia, miłość wolności i ojczyzny, energią pracy, chęć zgłębienia tajemnic przyrody. Ale te szczytne postacie zasłoniła nam wkrótce inna olbrzymia postać, która stanąwszy na krawędzi dziewiętnastego wieku, rzuciła cień wielki i długi na całe stulecie. Tym olbrzymem, jak się każdy domyśla, był Napoleon. Dwa co najmniej pokolenia wzrastały zapatrzone na ten kolos i podziwiające jego olbrzymie kształty; młodzież dwóch, trzech pokoleń rozczytywała się w jego dziejach i czerpała z nich pokarm wątpliwej pożyteczności. Chęć sławy głośnej i wielkiej, jak świat, oto było wszystko, czem mogły natchnąć te dzieje; z pokuty zaś siedmioletniej na wyspie Św. Heleny młodzież niezdolna była wyciągnąć tego sensu moralnego, jaki się w niej ukrywa.

Po za granicami Francyi postać Napoleona może nigdzie nie wywierała takiego wpływu na umysły jak u nas; mieliśmy do bardzo niedawna formalny kult napoleoński, a największy nasz poeta był arcykapłanem tego kultu. Dziś rzeczy się zmieniły; kolos zapada się w ziemię, a z poza niego wychodzą jasne postacie bohaterów wolności, które tak długo zasłaniał sobą. Żywoty Benjamina Franklina i Jerzego Waszyngtona opracowane przez p. Sawczyńskiego trafiają wybornie w kierunek, jaki dziś zapanował w usposobieniu narodu.

Praca ta nie jest oryginalna; sam p. Sawczyński powiada w przedmowie, że żywoty są po większej części tłómaczone z niemieckiego dzieła i uzupełnione bądź oryginalnemi uwagami, bądź dodatkami z innych książek czerpanemi. Co się tyczy tłómaczenia, to pomijając niektóre drobne błędy (jak np. stawianie wyrazu „także“ na początku zdania zamiast „i“), jest ono w ogóle poprawne. Nie wiemy tylko dla czego Waszyngton uporczywie nazywany jest wszędzie „Wa*syng*tonem“, skoro po angielsku pisze się „Washington„ a *sh* wymawia się zawsze jak polskie *sz*. Gdyby chodziło o zachowanie wymowy angielskiej, to należałoby pisać „Ueszynton“; *Wasyngton* zaś nie jest ani po angielsku, ani po polsku.

Bądź cobądź należy się wielka wdzięczność p. Sawczyńskiemu, że dał tak pożyteczną książkę w ręce młodzieży i skierował jej wzrok w tę stronę, gdzie najpiękniejsze znaleść może dla siebie wzory. *X.*

STARY LEŚNIK.

I.

Słońce na niebie promieniejąc świetnie,
Kąpie w swych blaskach las wielki i stary;
Olbrzymie sosny i dęby stuletnie,
Wznoszą ku niebu potężne konary,
Pod dębem brzoza, tuli się w pokorze,
A wrzos pod brzozą... zwyczajnie jak w borze.

II.

Są tam jawory, modrzewie i klony,
I stara lipa rośnie na polance,
Na jej gałęziach gołąb rozczulony,
Pieśnią miłości grucha swej kochance;
Jest i jałowiec mały, karłowaty,
Brzydkie badyle i barwiste kwiaty.

III.

Biała i smutna brzezina płacząca
Po nad mrowiskiem zwiesza swe gałązki,
W pół uschła wierzba, złotym liściem drżąca,
Spogląda w strumyk jak wstążeczka wązki,
Nizki krzak w siatkę spowity pajęczą,
A w dziupli drzewnej pszczoły głośno brzęczą.

IV.

Szeroka droga biegnie pośród boru,
Przy mostku stoi skromny krzyż przydrożny,
Wieśniak idący w pomroce wieczoru,
Przed owym krzyżem żegna się nabożny;
Niekiedy zając tamtędy przeleci,
Lub wilk zgłodniały krwawem ślepiem świeci.

V.

Zwykły to obraz, tak zwykły i prosty,
Jako te drzewa co przy drogach rosną,
Jako badyle, pokrzywy i osty,
Co się zielenić zaczynają z wiosną...
Co mi za powab!? Ot stary las wielki,
Co jest na opał zdatny i na belki.

VI.

Są jednak ludzie, którzy widzą w lesie,
Prawdziwy obraz świata i ludzkości!
Są, którzy mówią, że szmer liści niesie
Jakiś hymn smutku, albo też radości,
Że nieme drzewa co wyrosły razem,
Są żywym wielkich narodów obrazem.

VII.

Ci ludzie mówią, że bór płakać umie,
Że wśród wieczornej uroczystej ciszy,
W drobnych gałązek i listeczków szumie,
Drga szept pacierzy, który niebo słyszy,
Że te gałązki grają taką pieśnią,
O jakiej ludzie nie marzą i nie śnią...

VIII.

Bo na nich grywa lata powiew ciepły,
I trąca w listek zielonością dumny,
Albo je ścina mrozu oddech skrzepły,
Wśród nocy czarnej jako wnętrze trumny,
Lub je rwie burza gdy się rozszaleje,
I całym borem, tak jak trzciną chwieje.

IX.

Ktoś mi powiadał, że jak naród wielki,
Co zgromadzony stoi w jedno koło,
Tak las na łonie ziemi rodzicielki,
Wśród burz i wichrów dumne stawia czoło;
A choć go zima w swe pęta spowije,
On znowuż z wiosną krzewi się i żyje...

X.

Niech promień słońca zaświeci mu pierwszy,
Niech niebo zagra swój hymn odrodzenia,
On się wnet staje wyższy, dłuższy, szerszy,
Zielonym wieńcem czoło opromienia,
I znowuż świeży młody i radosny,
Żyje ogrzany ciepłem tchnieniem wiosny.

XI.

Mądrość przyrody wielka, niedościgła,
Zaklęła w drzewo siłę niezmierzoną;
Bo póki w sośnie żyje jedna igła,
Gdy jednę gałęź dąb ma niezmrożoną.
To jeszcze mocą słonecznych promieni,
Las się do życia budzi i zieleni.

XII.

Las żyje długo, i wtedy umiera,
Gdy go z korzeniem człowiek wykarczuje
Gdy wszystkie drzewa wyrąbie siekiera,
Lub gdy je brzydki robak jadem struje,
Gdy cały w bagna zapadnie i zgnije,
Nawet pod wpływem słońca nie ożyje...

XIII.

Nie zazieleni się już bowiem próchno..
Jak w trupa życie nie wstąpi na nowo,
Lecz się pogrąży w bagna, które cuchną,
Jak w otchłań zimną, ponurą, grobową,
I czasem tylko, ciemną, letnią nocą,
Błędne ogniki nad nim zamigocą..

XIV.

Kto ci to mówił? spytacie, poeta?
Co szuka natchnień w lip ustronnych cieniu,
Czy bladolica marząca kobieta,
Co duszę streszcza we łzach i westchnieniu,
Czy może jaka zapleśniała księga,
Z której poety duch do niebios sięga?

XV.

Nie, mej powieści inny jest początek,
Płynęła ona z piersi starca zwiędłej,
Który nie sądził by słów jego wątek,
Niezgrabne ręce w sieć rymów oprzędły,
By to co myślał i mówił jak bratu,
Bez jego wiedzy odsłoniły światu...

XVI.

Bieluchna chata kryła się pod borem,
W jej ścianach niegdyś mieszkał dziad wysoki;
Nie raz na progu usiadłszy wieczorem,
Samotny, smutny, spoglądał w obłoki,
I snuł wspomnienia ubiegłej młodości,
Szczęścia, zachwytów, cierpień i miłości.

XVII.

A miał tych wspomnień moc wielką zaiste,
Pełnych uroku lub bojowej grozy...
Przeszedł południa krainy ogniste,

W walkach z Hiszpanem zdobywał wąwozy,
Nie jednę ziemię w swem życiu zobaczył,
I każdą prawie własną krwią naznaczył.

XVIII.

Po długich walkach, zawodach, cierpieniu,
(A los go niemi bardzo ciężko chłostał),
Osiadł nareszcie w drzew zielonych cieniu,
I z wojownika stróżem lasu został.
Do tej pustelni schronił się z ochotą,
Bo był na świecie zupełnym sierotą.

XIX.

„Czuję to, mówił, że gdy śmierć zaskoczy,
Nikt mi serdecznym płaczem nie zadzwoni,
Nie będzie ręki co mi zamknie oczy,
Co przyjmie uścisk kostniejącej dłoni,
I nikt nie zechce w modlitwie serdecznej,
Zmówić staremu „odpoczynek wieczny.“

XX.

Na mej mogile kwiatków nie zasieją,
Ani kobieta na niej nie uklęknie,
Tylko mi wichry żałośnie zawieją,
Tylko niekiedy puszczyk nad nią jęknie,
Bo ci, co w szczęściu żyłem chwilkę z niemi
Młodsi odemnie są już dawno w ziemi.

XXI.

Nie mam nikogo — w tej cichej ustroni,
Jako pustelnik kończę życie smutne,
A gdy w sąsiedniej wiosce dzwon zadzwoni,
Odmawiam pacierz i psalmy pokutne,
Prosząc ażeby Bóg wziął duszę grzeszną,
Bo mi do moich ukochanych spieszno.

XXII.

Dwie tylko miałem — i te mi wyrwano
Z objęć, jak psotnik z ziemi kwiat wyrywa,
I żyję w sercu z rozjątrzoną raną,
Co mi bolesna zawsze, wiecznie żywa,
Co mi pierś bodzie jako miecz ze stali,
I bolesnemi wspomnieniami, pali.

XXIII.

Jednę na obcej pochowałem ziemi,
Druga spoczęła tutaj nie daleko,
I szczęście moje umarło wraz z niemi,
Dwóch białych trumien przykryło je wieko;
A ja goryczy jad tak długo piję,
I w takim smutku, widzisz, jeszcze żyję...

XXIV.

I nie raz pytam siebie, czym ja skała?
Której nawalność morza nie ukruszy,
Że nie rozszarpią mi słabego ciała,
Okropne burze szalejące w duszy,
Czy boleść co me serce rwie na ćwierci,
Tak pożądanej nie zeszle mi śmierci?

XXV.

Słuchaj dzieciaku, ty cierpieć nie umiesz,
Bo ci się życie wiośniane uśmiecha,
Ty mojej skargi może nie zrozumiesz,
Boś jeszcze nie pił z goryczy kielicha,
Ciebie los jeszcze niczem nie zbogacił,
A jam już wszystko co najdroższe stracił...

XXVI.

Nie raz mnie pytasz: „czemu dziadku stary,
Od dobrych ludzi stronisz i uciekasz,
Idziesz pod dębów zielone konary,
I tam nad swojem sieroctwem narzekasz,
Do drzew przemawiasz, a drżącemi wargi
Zwierzasz im swoje boleści i skargi?“

XXVII.

Ja ci odpowiem, las jest dla mnie światem,
W którym mam wszystko prócz fałszywych ludzi,
Ja się z nim z żyłem, jak z ojcem lub bratem,
Szmer jego liści do życia mnie budzi,
On moje troski i boleść rozumie,
On gwarzyć ze mną, on i płakać umie.

XXVIII.

Cóż tak spoglądasz? ty dziecko naiwne,
Jak gdybyś prawdzie moich słów nie wierzył;
Te moje skargi zdają ci się dziwne,
Boś drogi życia jeszcze nie przemierzył,
Bo nie wiesz o tem, mój słuchaczu młody,
Co jest świat, boleść, szczęście i zawody.

XXIX.

Kiedym złamany przyszedł w to ustronie,
Małą dziecinę przywiodłem za sobą,
Łzy mi nie oschły jeszcze po mej żonie,
Która mi serce okryła żałobą,
A tak mi było gorżko, źle na świecie,
Żem zapominał prawie, iż mam dziecię.

XXX.

Rozpacz snu nie zna — więc z poranną gwiazdą,
Co zajaśniawszy zwiastowała słońce,
Wszedłem do lasu; — tam ujrzałem gniazdo
Małe, okrągłe na krzaczku wiszące,
A w niem ptaszyna jakimś strachem zdjęta,
Patrzyła na mnie tuląc swe pisklęta.

XXXI.

Wtenczas bór tonął w promieniach jutrzenki,
Łagodnym szeptem szumiały gałązki,
Jakby pragnęły uśmierzyć swe jęki,
Jakby przypomnieć chciały obowiązki,
Żal się w mej duszy ukoił na chwilkę,
I przypomniałem córkę swą Marylkę.

XXXII.

Tą myślą tknięty wróciłem do chaty,
I nad łóżeczkiem jej stanąłem z cicha,
Spała... w jej rączce były zwiędłe kwiaty,
Patrzę... aż ona przez sen się uśmiecha,
Jakby uśmiechem chciała mnie pocieszyć,
I duszę moję z rozpaczy rozgrzeszyć.

XXXIII.

Ucałowałem jej rączkę malutką,
I odtąd w duszy sobie zaprzysiągłem,
Pracować dla niej — westchnąłem więc krótko:
Do jarzma pracy sam siebie zaprzągłem,
I przynosiłem dla mojej maleńkiej,
Śliczne obrazki, książki i sukienki.

XXXIV.

Znowuż lat kilka przeżyłem radośnie,
W duszy był spokój, który praca daje,
A dziecko rosło, tak jak drzewo rośnie,
Co się z patyczka smutną sosną staje,
A taka była piękna i dorodna,
Jak balsamiczna topola nadwodna.

XXXV.

Po matce miała oczy południowe,
Wielkie, wilgotne, głębokie jak morze,
Usta z korali, pyszne włosy płowe,
I cała była jak poranne zorze,
Jako kwiat lilii, który po nad wodą,
Zwraca ku słońcu swoję główkę młodą.

XXXVI.

Gdy była w lesie — las gałązki schylał,
Jakby cześć złożyć pragnął swej królowej,
Do niej się słowik śpiewaniem przymilał,
Jakby uwielbić chciał ją dźwiękiem struny,
Nie raz na dłoni jej siadł ptak maleńki,
A trwożne sarny jadały z jej ręki.

XXXVII.

O moje słońce! na to żeś wschodziło,
Aby mi krwawym zaświecić zachodem.
O dziecię moje! czyś dla tego żyło,
By się tak prędko rozstać z życiem młodem,
Bym ja za tobą, moja ty dorodna,
Źródło łez gorzkich wyczerpał aż do dna...

XXXVIII.

Raz mi zrządziło przykrość moje dziecię,
Gdy się w jej sercu ozwał głos miłości...
Ja zapomniałem, że to tak na świecie,
I stare serce moje schło z zazdrości.
Bom sądził, że gdy młodzieńca poślubi,
To już starego ojca tak nie lubi...

XXXIX.

Było to w zimie... w sam dzień jej wesela,
Stanęła przy mnie ustrojona w bieli,
Jak jasne słońce co promieniem strzela,
Jak owi w sennych widzeniach anieli.
Tak była swojem szczęściem uśmiechnięta,
A taka czysta jak z obrazu święta.

XL.

Kościół od chaty był o małą milę,
W dzień zaś nam Pan Bóg mrozu nie poskąpił,
A mój las drogi w tę pamiętną chwilę,
W takim prześlicznym stroju mi wystąpił,
Żem myślał sobie: o i on podziela
Szczęście i radość swego przyjaciela.

XLI

Sosny przywdziały na zielone głowy,
Z kryształów śniegu bieluchne zasłony,
Słońce im dało połysk brylantowy,
A tym połyskiem las był ozłocony,
I każdy listek ostrym mrozem ścięty,
Przywdział na siebie same dyamenty.

XLII.

Gdyśmy jechali, drzewa z po nad drogi
Chyląc swe czoła niosły pozdrowienie,
Brylantów kwiaty sypały pod nogi,
A szmer ich listków niósł dobre życzenia,
Zaś cichy wietrzyk, który je w ruch wprawił,
Dotknął jej czoła... jakby błogosławił...

XLIII.

Była to radość w mem życiu ostatnia,
Jedyny uśmiech losu w mojej doli!
Dziś wszystko przeszło — a nawet dłoń bratnia,
Nie zgoi rany smutku, która boli,
Która jak robak drzewo, duszę toczy,
Kirem żałoby zasłaniając oczy.

XLIV.

Rok nie upłynął — po tej samej drodze,
Wracam do chaty i złorzeczę niebu,
Jam był niewinny choć bluźniłem srodze,
O! bo ja szedłem z mej córki pogrzebu!
Pragnąłem płakać... ale nadaremno,
Wtenczas las cały zapłakał nademną.

XLV.

Łzy tak jak perły przymarzły na sośnie,
Wicher drzewami tak okropnie miotał,
Tak strasznie jęczał i tak wył żałośnie,
Jakby się z lasem olbrzymim szamotał,
Słyszałem wilków wycie, jęk puhaczy,
I wtórowałem im głosem rozpaczy.

XLVI.

Zdawało mi się, że mieczów tysiące,
Na tysiąc części głowę mi rozsiekły,
Że krwi strumienie czerwone, gorące,
Po rozpalonych oczach mi pociekły,
Że jakaś obca niewidzialna ręka,
Szarpie mi serce, które z bólu pęka.

XLVII.

Wpadłem do lasu tak jak dzikie zwierzę,
I nie płakałem, lecz jak ono wyłem;
Sądząc, że rozpacz życie mi odbierze,
Strapioną głową w pnie dębowe biłem,
Aż wreszcie padłem bezsilny, zemdlony.
Na wpół zastygłą, własną krwią zbroczony.

XLVIII.

Tam mnie znaleźli; do mej chaty wzięty,
Długim czas leżał utraciwszy czucie.
Ksiądz jakiś czytał rozdział z księgi świętej,
O łasce bożej mówił, o pokucie,
A jam mu słowa przerywał co chwilkę,
Mówiąc mu! księże, oddaj mi Marylkę.

XLIX.

Smutek nie wyszedł już z pod mojej strzechy,
(Snać był wpisany do mych losów karty),
Szedłem w las dumać, tam szukać pociechy,
Ulgi, lekarstwa, dla piersi rozdartej.
Dumać samotnie na łonie przyrody,
Tej wiecznie dobrej, świeżej, wiecznie młodej...

L.

Więc ukochałem to leśne ustronie,
Te stare drzewa milczące i smętne,
Nie raz gdy słońce w jeziorze utonie,
Wspominam tutaj chwile mi pamiętne,
Czas mej młodości, walk na obcej ziemi,
I drogie cienie co dążę za niemi.

LI.

Słuchaj — jam teraz serce złożył w lesie,
Ja umiem pojąć o czem liść szeleści,
Rozumiem słowa, które wiatr tu niesie,
I starych dębów poważne powieści,
Ja płaczę z niemi, gdy wspominam ludzi,
A one ze mną, gdy mój żal się budzi.

*

LII.

I czy ty sądzisz, żem skończył cierpienia,
Że już nad nikim, nigdy nie zapłaczę?
Że wspomnę tylko pogrzebowe pienia,
Że co dzień tylko grób wilki zobaczą,
I więcej nad to, nie będę miał krzyża?
Patrz, jeszcze jeden do mnie się przybliża!

LIII.

Widzisz tych ludzi jak idą gromadą,
A każdy topor na ramieniu niesie,
Ach! Oni trupem moje drzewa kładą,
Tak jak zaraza grasując po lesie.
Oba padniemy z ukochanem borem,
Ja żalem ścięty, tak jak on toporem.

LIV.

Odejdź dzieciaku wiecznie uśmiechnięty,
Nie wiem dlaczegom otworzył ci duszę,
Idę zobaczyć mój bór na pół ścięty,
I na grób dziecka pacierz zanieść muszę,
A za to żem się wyspowiadał tobie,
Postaw mi późniéj prosty krzyż na grobie."

LV.

Odszedłem smutny, on poszedł milczący,
Ja w stronę ludzi, a on w stronę boru,
Widzę go zdala jak stawia krok drżący,
I jak mi niknie w pomrące wieczoru.
Księżyc zaświecił blady... łzawy... smutny,
Jakby go wzruszył starca los okrutny...

. . . .

. . . .

LVI.

Słyszałem zdala głuchy stuk toporu,
Słyszałem łoskot, z jakim drzewo pada,
I jęk słyszałem wszystkich sosen w boru,
Jakby wołanie: biada wam! o biada!
Jak okrzyk zgrozy powstający w tłumie,
Co jednozgodnie czuć i boleć umie.

LVII.

W miejscu, gdzie była gąszcza niedostępna,
Dzisiaj obszerne rozciąga się pole,
Jedyna sosna samotna, posępna,
Drżącą gałązką płacze na swą dolę,
A stary leśnik wtórzy płaczom sosny,
I wzrok do koła posyła żałosny.

LVIII.

I ta upadła.. podcięta toporem,
Runęła z głuchym, ponurym łoskotem,
Dla piersi starca, co się żył z tym borem,
Jęk owej sosny był ostatnim głosem.
Twarz mu zmarszczona dziwnie jakoś zbladła,
I głowa martwa na piersi opadła.

LIX.

. . . .

Przy grobie córki jest jego mogiła,
A na niej w lesie rosną dzikie kwiaty.
Skromny jak dusza co w tym starcu żyła,
Po nad mogiłą wznosi się krzyż prosty,
I tak skończyło się życie tułacze,
Starca, nad którym nawet las nie płacze...

Klemens Junosza.

TYDZIEŃ LWOWSKI.

XIII.

W sprawie pielgrzymki włościan do Rzymu otrzymujemy od szanownego profesora Szymona Syrskiego list następującej treści:

„Gdyby sprawa pielgrzymki pozostawioną była dowolnie uczuciom religijnym i nabożnym jednostek, to nawet wówczas byłoby obowiązkiem, każdego uczciwego i doświadczonego człowieka objaśnić nieświadomych co do trudności przywiązanych do tak dalekiej, uciążliwej podróży i co do skutków wynikających ztąd w życiu rodzinnem i gospodarstwie włościan.

Gdy atoli poruszono tę sprawę publicznie, uważając ją *divinis humanis mixtis* za pewien rodzaj demonstracyi, wywierając nacisk na nieoświeconych w celu nakłonienia do najliczniejszego ich udziału w pielgrzymce, byłoby już więcej jak zaniedbaniem obowiązku, bo byłoby to już po prostu zbrodnią wobec czystych zasad nauki Chrystusa i wobec patryotyzmu, pomijać tą sprawę milczeniem.

Pod wpływem więc tego uczucia, a nie dla żadnych innych powodów przytaczam tu dla przestrogi pewne zdarzenie tyczące się jednej z pielgrzymek do Rzymu.

Kilka lat temu otrzymałem od barona Pascotiniego, naówczas posła do Rady państwa w Wiedniu, pismo, w którem zawiadamia mię, iż przybędzie do Tryestu pielgrzym chłop z dóbr Krzeszowickich hr. Adama Potockiego, udający się do Rzymu, i prosi o przedstawienie go prezesowi towarzystwa *Società cattolica*, którego już o tem uwiadomił, i o wspólne obmyślenie dalszych środków do pielgrzymki. I rzeczywiście w kilka dni potem wchodzi do mojej pracowni służący Muzeum, donosząc iż przybył jakiś człowiek dziwnie ubrany, wymawiający słowa: Roma, papa i me nazwisko, z którym się zresztą żadnym językiem porozumieć nie można. Kazałem go wprowadzić. Wchodzi tedy wysoki mężczyzna około 40 lat życia, w długiej, białej, prawie do kostek sięgającej sukmanie, z białą wełnianą czapką w ręku. Na moje szczere przywitanie i zapytanie co czynić zamierza, odpowiada jak następuje: — Podobnie jak ja, jeden chłop z dóbr hr. Adama Potockiego, nazwiskiem Gołąb, był tak szczęśliwy, iż dostał się do Rzymu, widział ojca św., pocałował go w nogę i dostał błogosławieństwo. Otóż i ja chciałbym być zbawionym, chciałbym widzieć ojca św. i dostać od niego błogosławieństwo. Do Wiednia dał mi p. Potocki na drogę, w Wiedniu złożyli się na moję podróż do Tryestu inni panowie, a ztąd nie mam o czem dojechać do Rzymu. Na moje dalsze zapytanie co robił Gołąb po powrocie z Rzymu, jak mu się powodziło, zaczął ten szczery i zresztą jeszcze niezepsuty człowiek opowiadać mi z zachwyceniem: — Panie! jemu potem było bardzo dobrze, uważano go za świętego, bywał często na herbacie u pani Potockiej etc. A gdym pytał go dalej czy ma rolę i rodzinę, rzekł mi poczciwiec: — Miałem wprawdzie kilka morgów, ale sprzedałem, ażeby myśleć o zbawieniu mej duszy.

Te odpowiedzi objaśniły mi rzeczywiste pobudki, które skłoniły tego człowieka do pielgrzymki rzymskiej. Zresztą nie czyniąc mu żadnych uwag, prócz tej jednej, że w Tryeście trudno będzie dostać pieniędzy na dalszą podróż, zawołałem służącego, i kazałem zaprowadzić go do prezesa *Società cattolica* z oznajmieniem, iż jeszcze dziś będę się z nim widział i pomówię o tym przedmiocie. Na to służący nic nie odpowiedział, stojąc z miną zakłopotaną i nie mówiąc jak zwykle: *per obedirla*. Powtórzyłem drugi raz moje polecenie. Na to rzekł mi, iż się wstydzi go prowadzić, gdyż od wczoraj tłumy chłopaków ciągną za nim, gdzie się tylko ukaże i wyśmiewają go. Nie znosząc w takich razach przeciwieństwa, kazałem służącemu iść naprzód, a wieśniak może zdala za nim podążać.

Będąc następnie u p. prezesa *Società cattolica*, zwróciłem jego uwagę na to, co mi wieśniak opowiadał, tudzież na skutki jakie ztąd dla niego wyniknąć mogą, na jego oswojenie się z żebraniną i próżniactwem, i radziłem odesłać do domu. Rozsądny ten mąż przyznał mi słuszność zupełną i rzekł mi: — Zgadzam się na to, jeżeli pan zdołasz przekonać wieśniaka o nieodpowiedności tego przedsięwzięcia, tak jak mnie przekonałeś.

Gdy dnia następnego, odwiedził mię wieśniak, zacząłem mu tłómaczyć niestosowność jego zamiarów, mówiąc doń: — Człowiek taki jak wy, szczery, widocznie uczciwy, niegdyś gospodarz pracowity, dziś puszcza się na żebraninę pomiędzy obcych, bez środków utrzymania, narażając się tylko na pośmiewisko. Czyż tego nie widzicie, jak zgraja chłopaków ciągnie za wami gdzie się ruszycie, naśmiewając się z was.

— Tak, panie, nawet wczoraj rzucali na mnie kamieniami, ale ja chcę widzieć ojca św. i być zbawionym.

Na to rzekłem mu:

— Tak! więc tylko ci będą zbawieni, którzy byli w Rzymie i widzieli ojca św., a wieleż to ludzi umiera nie osiągnąwszy tego; mająż ci nie być zbawieni? Czyżby Bóg mógł być tak niesprawiedliwym. Nie! mylicie się. Owszem, każdy człowiek uczciwy, kochający swój kraj i swój naród, pracujący na chleb dla siebie i dla swej rodziny, pomagający biednym, będzie niezawodnie prędzej zbawionym, aniżeli ten, który porzucając ojczystą ziemię, rodzinę, puszczając się na próżniactwo, żebraninę, nawet dziesięć razy oglądać będzie ojca św. Nie! przyznacie mi, że takim Bóg być nie może, nie może on wynagradzać więcej życie ladajakie, próżniactwo i żebraninę niż uczciwość i pracę. Radzę więc wam nie wystawiajcie siebie i nas na pośmiewisko, nie puszczajcie się na żebraninę, na niepewne, ale wracajcie do kraju ojczystego, pracujcie, bądźcie uczciwi, a będziecie nierównie prędzej zbawieni, niż za pomocą nawet dziesięciokrotnej pielgrzymki do Rzymu.

Na to rzekł mi wieśniak: — Dobrze, panie, wrócę do domu. — A gdy się przy odchodnem żegnał ze mną, ofiarował mi na pamiątkę wśród łez i rozrzewnienia srebrną włoską dwufrankową monetę, którą zwróciłem mu jako pamiątkę odemnie.

Tak więc powrócił do domu ten uczciwy, lecz obałamucony człowiek, a ja zaraz napisałem do p. Adama Potockiego dłuższy list, zapytując go jak miał sumienie wprowadzić uczciwego człowieka na drogę żebraniny, próżniactwa i rozterki rodzinnej? Jeżeli już miał to przekonanie, że zjedna sobie szczególniejszą zasługę przed Bogiem, jeźli aż dwóch chłopów z jego dóbr będzie w Rzymie, lub jeźli może w tem upatrywał jakąś chlubę, to czemu nie opłacił temu człowiekowi kosztów całej podróży? Nie wiem czym przekonał pana Potockiego o niechrześciańskości jego postępowania, to jednak wiem niewątpliwie, iż przekonałem zdrowy rozum wspomnianego wieśniaka i prezesa towarzystwa katolickiego, także i p. barona Pascotiniego, starca blisko 80 letniego, którego, jako byłego pazia cesarza Franciszka, potem wicegubernatora Lombardyi i gubernatora Tryestu, spokrewnionego z książętami Hohenlohe, o bezbożność lub też radykalizm posądzać nie można.

Jeżeli więc mogłem przekonać, wyżej wymienione osoby, to sądzę, że zdołam trafić i do serca rodaków wykazując całą zbyteczność, a nawet szkodliwe skutki pielgrzymki do Rzymu, zwłaszcza, że tu nie chodzi już o zadosyćuczynienie pobożnym życzeniom jednostek, ale o demonstracyą zbiorową, przeważnie politycznej natury. W myśl prostych a wzniosłych zasad moralności Chrystusowej przemawiam do urządza-

jących pielgrzymkę, ażeby nie odrywali ludzi biednych od pracy i obowiązków, nie narażali ich na straty i żebraninę. Przemawiam do zdrowego rozsądku, prawdziwej pobożności i miłości ojczyzny moich rodaków, ażeby się nie dali bałamucić ultramontańskim odezwom zapaleńców i raczej tu na ojczystej ziemi zdobywali sobie cześć i zbawienie — nie szukając ich w bezmyślnych wycieczkach i teatralnych demonstracyach. Prawdziwie nabożna i rozsądna część narodu, powinna raz przecież dać należytą odprawę tym rzekomym apostołom pobożności, którzy ciągłemi krzykami, ciągłem drażnieniem, rozdwojenie tylko w społeczeństwie naszem sprowadzają.

Dr. Syrski.

* * *

— Inne sprawy, dla braku miejsca, odłożyć musimy do przyszłego numeru.

O twórczości poetyckiej

przez

Juliana Ochorowicza.

„Oko ducha — mówi Wiktor Hugo — nie może znaleść nigdzie więcej błysków i więcej cieniów jak w człowieku“... „Istnieje widok wspanialszy niż morze—jest nim niebo; istnieje widok wspanialszy niż niebo — jest nim wnętrze duszy człowieka.“

Wielki poeta powiedział prawdę. Wszakże to wszystko co w nauce i sztuce, w dziejach oświaty i w dziejach ciemnoty podziwiamy jest dziełem tej siły wewnętrznej, jest wyrobem tej duchowej pracowni, do której wstęp mają: ksiądz, poeta i... psycholog. Niechże więc i nam wolno będzie zajrzeć w to tajemnicze źródło wielkich słów, z których mają powstawać wielkie czyny.

Pierwszym warunkiem organizacyi poetyckiej jest odpowiednio spotęgowana *wrażliwość*. Nazywamy nią zdolność przyrodzoną, której się nie nabywa lecz odziedzicza, zdolność łatwego ulegania zewnętrznym pobudzeniom zmysłowym. Wszystkim wiadomo czem są osoby tak zwane nerwowe, które lada szmer niespodziany o drżenie przyprawia, w których powietrze przed burzą naładowane elektrycznością obudza niepokój, którym lada silniejsze wrażenie moralne szkodzić może, rozstrajając nerwy i nawet sprowadzając chorobę. Lecz czy takie usposobienie nerwowe zawsze stanowi jeden ze składników poetyckiej organizacyi? Bynajmniej. Istnieje bardzo wiele osób nerwowych, w których nawet śladu weny poetyckiej nie spotykamy, a natomiast wielu pierwszorzędnych poetów, nie ulega wcale okrzykom nerwowym, gdy ktoś pięścią w stół uderzy, albo gdy wicher zawyje w kominie. Widocznie więc jeśli wrażliwość jest jednym z warunków natury poetyckiej, to nie w tem ogólnem znaczeniu nerwowej pobudliwości. Wrażliwość poety musi mieć specyalny swój charakter.

Zobaczmy jakim on będzie.

Prawdziwi poeci zasługują często na nazwę zimnych i obojętnych, ponieważ rzadko kiedy dają poznać to co czują. Widocznie więc wrażliwość ich ma charakter głębszy, ale nie jest to bynajmniej głębokość trwała. Jeżeli z jednej strony istnieją ludzi nerwowi, których wrażliwość jest tylko powierzchowną, jeżeli z drugiej strony istnieją inni, którzy przy braku pozorów, wchłaniają w siebie wrażenia, by je bardzo długo, skrycie, w głębi duszy przechowywać, pozwalając tam nurtować im i trwać bez poczucia potrzeby wylania się w jakikolwiek bądź sposób, to ani taka wrażliwość zewnętrzna, powierzchowna, ani taka głęboka lecz utajona i stała, nie jest właściwym przymiotem poetów. Pierwsza byłaby zbyt lotną, dorywczą i gadatliwą, druga zbyt stałą, monotonną i niemą. Wrażliwość poety musi być głęboką ale zarazem zmienną, „co on czuje, inni uczuć chcieliby daremnie“ ale też on czuje szybciej, bo różnorodniej. Rzeczy i ludzie, wypadki i wspomnienia wszystko to silniej wnika w jego serce, wyciska swe piętno, ale nie to piętno martwe, bierne, które do podziwu tylko prowadzi, lecz to żywe, ruchliwe, które, jak kameleon mieni się i zaciera, by nowe do życia powołać.

Poeta otoczony tym samym światem, co inni, widzi inaczej, czuje inaczej, widzi więcej, czuje głębiej. I nie potrzebuje drżeć wobec huku, blednąć wobec ognia, bo dla niego nie to silne, wielkie i groźne, co ciałem wstrząsa, lecz to co w drobnych na pozór i pospolitych zjawiskach kryje wewnętrzną treść i myśl co przeciwieństwem uderza w struny uczucia, harmonią jednoczy sprzeczne myśli, albo spokojem usypia namiętności. Ztąd też poeta w najpowszedniejszem otoczeniu znajdzie pobudkę dla przejawu swych władz, materyał dla swych obrazów, co więcej, on mocą swej wrażliwości może się tak zespolić z otoczeniem, jakgdyby to co przed nim jest i nad nim, było cząstką jego własnego organizmu, jego własnej osobistości.

„Być poetą“, mówi Gabryela, to jest być razem wszystkiem co żyje pod niebem w niebie: kropelką rosy, iskierką, głazem — świat wielki przedzierzgnąć w siebie.“ Jestto „mieć wszystkie skarby bogaczy“, być panem wszystkiego i nadto takiej „cudownej boskiej krainy, jakiej król żaden nie ma na ziemi.“ A skąd te skarby? zapytacie.

— „Z wielkiego czucia, z nieskończoności...“

To wielkie czucie, dla którego cała nieskończoność wrażeń dostarcza, jest owem sitem czarodziejskiem przez które świat zewnętrzny przesiewa kształty, barwy i dźwięki w duszę poety, aby je ten, mocą wewnętrznej swej pracy przetworzył na chleb duchowy, który ma nas, „z jadaczy powszedniego chleba w aniołów przerobić.“ Tylko dla tego że poeta sam silniejsze wrażenia odbiera, że w nim budzą one zachwyt lub ukojenie przynoszą, tylko dlatego nawzajem pieśń jego staje się, (wedle słów Deotymy): „Skrzydlatą klucznicą wrażeń tych ducha podwoi.“ Tylko dlatego „szczęśliwych zachwyca, cierpiących koi.“

Poeci oddają nam wrażenia, których im świat dostarczył, oddają nam często czystsze i wspanialsze, a ta wymiana, to pośrednictwo jest pasmem przeobrażeń wewnętrznych wzbogacających ogół, wyczerpujących poetę. Głębokość a zarazem zmienność owego „wielkiego czucia“, trafnie maluje Wiszniewski w swoich „Charakterach rozumów ludzkich:“ „Człowiek z geniuszem ma mocniejsze od innych czucie, które za każdą myślą szybkością błyskawicy, aż do głębi serca dochodzi... Wszystko co go otacza mocniejsze na nim czyni wrażenie; każda większa myśl zapala go i unosi. Najmniejsze słówko pochwycone, przeobraża się w nim szybko na myśl i uczucie, sięga aż do dna duszy, krąży z szybkością błyskawicy, wszystkie tajniki umysłu i serca przebiega, obudza roje myśli i rozliczne uczucia, wprawia w ruch wszystkie siły umysłu i jak wetknięty kij w wielkie mrowisko, długie i nieprzewidziane w całej duszy jego sprawia wzburzenie...“

Porównanie nieco grube, ale dobitne. Autor mówi jeszcze w innem miejscu o wrażliwości poetyckiej: „Opisując rzeczy świata otaczającego, poeta okazuje rysy i kształty, które przed okiem naszem zawsze wymykały się, i odsłania przymioty, okoliczności i stosunki, około których tysiąc razy krążyliśmy a nigdy ich nie dostrzegli. W zwierciedle jego duszy wszystko innych nabiera wymiarów, zdumiewa, zachwyca i porywa.“

Nie jestto już owe pospolite spotęgowanie wrażliwości, nie jestto owa czysto zmysłowa pobudliwość, lecz raczej pobudliwość wyższego rzędu, nie tak łatwo w grę wchodząca, wybredniejsza, duchowa, którą Małecki nazywa „poetycznem na świat spojrzeniem“ a którą utartem mianem estetycznego poczucia określamy. Jeśli więc Brodziński odsądza od miana poety, tego: „Czyje ucho nie skłonne do Apolla dźwięku; to zaraz dodaje, że chodzi tu o wrazliwość głębszą niż ta, którą posiadać może ucho, że chodzi tu o tego:

„Komu nie drży o serce głos czarownej struny,“ i o tym ma prawo powiedzieć że „nie zna drogi do serca, obce mu są kraje, w których skrzętna bogini błogie sny podaje“.

Z naszych poetów Mickiewicz i Słowacki w wysokim stopniu posiadali tę prawdziwie poetycką wrażliwość; śmiem nawet twierdzić, że u Słowackiego była ona żywszą, bujniejszą, choć za to i kapryśniejszą zarazem. Słusznie mówi Małecki, że „przed jego okiem widne były wszystkie tęczowe barwy poezyi rozlanej po rozłogach życia ziemskiego. Najniklejsze, najtajniejsze objawy jej przytomności pomiędzy nami, mówią do jego wyobraźni: jesteśmy! Gdzie wzrok zwyczajnego usposobienia nie widzi nic, jak pospolite kształty żywota, gdzie ucho najczulsze nie słyszy, jak tylko rytm powszedniego toku wydażeń, Słowacki tam umie dopatrzyć i dosłuchać się jakby ostatnich westchnień tęsknych tej melodyi, która w poranku dziejów ludzkości była regulatorem życia na ziemi, a dziś już prawie zupełnie się wyniosła z obszarów bytu rzeczywistego. To też za dotknięciem jego ręki przemienia mu się wszystko jakby w jakiś eter powiewny.“

Błyskotliwość jego wrażliwości, a zarazem większa jej moc, sprawiały tę nadmierną podatność na wrażenia, tę bezustanną walkę wewnętrzną wynajdywanie udręczeń w najprzyjaźniejszych nawet warunkach, wreszcie tę szorstkość obejścia, którą Słowacki dzielił z wielu innymi poetami, a która mu tak łatwo narażała i zniechęcała ludzi. Dumny odrębnością i wyższością swego uczucia, nie mógł on zmusić innych do podążania za jego wrażeniami i wiecznie czuć musiał pewien rozbrat pomiędzy własnem sercem a jego prozaicznem otoczeniem. Dziecięciem jeszcze budził trwogę w sercu matki na widok burz wewnętrznych, które się w bladej twarzy jego odbijały

> i myśląc o synu
> Nie śmiała wyrzec: niech się dzieje wola Boga!
> Bo w czarnych oczach dziecka płomień gorączkowy
> Przedwcześnie zapalony, trawił młode życie...

A później, przedwcześnie dojrzały uczuciem, żądał wzajemności takiej jakiej znaleść nie mógł i upokorzony, z „sercem jak kryształ w setne

porytem skazy“ wszystkie czucia swojego skarby „ognistej wyobraźni rzucił na pożarcie.“ I nie dziw, że wyobraźnia ta, pod wpływem tylu głębokich i jaskrawych wrażeń „w złote rozkwitała farby, i kładła się jak tęcza, na ksiąg białej karcie.“

Wrażliwość Mickiewicza o wiele była spokojniejszej natury. Umiał on lepiej od Słowackiego panować nad wpływami wrażeń, a błyski jego ducha długo kryły się w głębi duszy za chmurami marzeń, zanim przybrane w czyste i miarowe kształty, ukazały się spokojne, pełne i harmonijne. „Wszystko takem napisał, jak tu do was gadam,“ mówił poeta sam o sobie. On nie wybuchał jak wulkan, lecz jak słońce oświecał. I tylko część tych jasnych promieni, rozsiewała jego wola wśród ludzi. Choć „czuł za miljon,“ w pieśniach zawarł tylko tyle uczucia „ile krwi ludzie dojrzeć mogli w jego twarzy.“ Reszta została w sercu. I jeśli Słowacki wołał w uniesieniu:

„Kto chce w pioruny wstąpić i w błyskanie,
I śnić to co ja śnię — niech przy mnie stanie.

To Mickiewicz w spokoju swym wymagał więcej:

„Chcąc mnie zrozumieć, nie ze mną trzeba być, lecz (we mnie.“

Wymagał zbyt wiele — bo rozumieli go wszyscy — ale to pewna, że takiego wylania uczuć na zewnątrz, wylania w tak świetnej formie, z takiem olbrzymiem bogactwem „duszy rwanej w kawały“ i rzucanej nam na strawę duchową — że takiej formy poetyckiej, jaką władał Słowacki, mógłby mu nawet Mickiewicz pozazdrościć. I dosyć było stanąć przy nim, ażeby ujrzeć te pioruny i to błyskanie, które duch jego w około siebie rozsypywał — a rozsypując cierpiał. Burza, która w nim była, huczała i w pieśniach jego — Mickiewicz przeciwnie, wpierw ją w sercu tłumił. On sam mówi o sobie:

Gdy mnie spokojnym zowią dzieci świata,
Burzliwą duszę kryję przed ich okiem,
I obojętna duma, jak mgły szata,
Wnętrzne pioruny pozłaca obłokiem;
I tylko w nocy — cicho — na Twe łono
Wylewam burzę we łzy roztopioną.“
(Rozmowa Wieczorna.)

Tak roztopiona burza nie straszyła ludzi, budziła tylko poczucie wyższości. Wzrok jego nie będąc groźną przestrogą dla matki, umiał przecież ujmować ludzi siłą spokojnego a głębokiego uczucia. „Wejrzenie Mickiewicza — mówi jeden z bliższych jego znajomych — było przeciągłe, długie, więcej rozważne niż przenikające. Kiedy kogo słuchał, raptem dziwną błyskało iskrą, kiedy zabierał się do odpowiedzi, zdawało się, że wszystko wtedy co widział lub słyszał, w jedno zbierało się ognisko; a ile razy w rozmowie z kimś obcym myślą jaką był uderzony, czynił nagle zwrot sam do siebie, podnosił głowę, oko się mgłą okrywało i przez czas jakiś nieruchome, pokazywało się po chwili, jakby ogniem i życiem do własnego wnętrza było zwrócone.“

Jeżeli wrażliwość taka, wyrażająca się w rysach twarzy, w zmienności jej wyrazu, słów i giestów, jeżeli w ogóle wrażliwość bardziej zmysłowa jest dziełem natury, od wpływów woli i otoczenia niezależnem, to przeciwnie ten wyższy jej stopień duchowy, prawdziwie poetycki, który poczuciem estetycznem nazywamy, daje się do pewnego stopnia rozwijać i kształcić. Wrażliwość estetyczna jest zarówno dziełem natury jak i wpływów pedagogicznych. Ma ona dla twórczości poetyckiej podwójną wartość — z jednej strony bowiem nie pozwala wrażliwości zmysłowej zarzucać umysł byle jakiemi wrażeniami — a powtóre, w chwili tworzenia staje się cenzorem form artystycznych, zarządzając usunięcie lub naprawę niemiłych sobie zboczeń. Nie należy tylko mniemać, jak to nieraz dawni estetycy czynili, że poczucie to jest czemś odrębnem nietylko w teoryi, lecz i w rzeczywistości, że jest ono jakby nowym zmysłem duchowym, jeśli się tak wolno wyrazić. Tak jak nie ma granicy pomiędzy poetą a niepoetą, tak też nie mamy żadnego bezwzględnego kryteryum do odgraniczenia poczucia estetycznego od innych przymiotów uczuciowości. Jeden i ten sam poeta może pisać rzeczy prawdziwie wzniosłe i słabe, a częstokroć jeszcze sam uważa za lepsze to co inni znacznie mniej cenią. Wreszcie czyż podobna żądać zupełnej zgody krytyków tam, gdzie nie miara i waga, ale rodzaj i głębokość wrażliwości artystycznej o wartości utworu stanowią? Wszakże słyszeliśmy głosy bardzo poważne odsądzające od miana poety nie już drugorzędnych, ale ogólnie na pierwszem miejscu stawianych poetów! Kto wierzy w jakąś przyrodzoną jedność i tożsamość estetycznego poczucia w duszy ludzkiej, tego ten fakt przekonać powinien, że nic nie ma bezwzględnego w sztuce i że poczucie piękna jest tak dobrze względnym objawem rozwijającej się ludzkości, jak poczucie dobra i cnoty tak zmienne i sprzeczne nawet u całych ras ludzkich. Właśnie ta to odrębność wrażliwości sprawia, że utwory poetyckie Wschodu tak bardzo się różnią od naszych. — „Trzeba samemu czytać poezye oryentalne, mówi Libelt*), aby powziąć wyobrażenie o tej żywości farb, o tej ruchliwości i tym ogniu fantazyi, które je cechują. Nic podobnego nie przedstawia poezya innych narodów. Jest to mozajka z drogich połyskujących kamieni; wieniec z najrozliczniejszych woniejących kwiatów.“

Poczucie estetyczne Mahometan martwem jest dla piękności naszego malarstwa i naszej rzeźby. Koran nawet zabrania przedstawiania ludzi i zwierząt za pomocą pendzla i dłuta; a dość jest przeczytać taki utwór jak „Ogród różany“ w przekładzie Kazimirskiego ażeby się przekonać i o barwistości stylu i o odrębności naszych estetycznych wymagań.

Ale nawet najlepiej rozwinięta wrażliwość, zarówno ogólnie-zmysłowa jak i czysto estetyczna, niewystarczyłaby nigdy poecie do zebrania tych wszystkich wrażeń, które w skład jego fantazyi wejść muszą, jeżeli chce stanąć na stanowisku mistrza panującego nad sercami ludzi. Wrażliwość zmysłowa daje tylko powierzchowne świata odbicie, daje tylko obfity zapas bardzo różnorodnego materyału, ale nie sięga głębiej, nie sięga do najczystszego i najbogatszego źródła poezyi: do serc ludzkich. Wprawdzie wrażliwość estetyczna przebiera ten różnorodny materyał, wybiera co lepsze i przydatniejsze, wprawdzie umie ona odczuć nawet to co dla wrażliwości zmysłowej jest niedostępnem, ale będzie to zawsze tylko zebranie form, objawów, pozorów, nie zaś tej treści wewnętrznej, która ożywia dusze pokrewnych nam istot: uczuć, marzeń, pragnień i namiętności. Chcąc ten szacowny materyał posiąść, poeta musi posiadać inną wrażliwość, bardziej przedmiotową, wrażliwość któraby mu pozwoliła odczuwać stany duchowe, wesela, rozpaczy, miłości, przerażenia, upojenia lub przygnębienia u innych istot, nie tylko te których sam doświadcza, ale i inne bezpośrednio dla niego nie dostępne. Takie odczuwanie różnorodnych stanów duchowych, bez którego niebyłoby prawdy w osobach i przejściach moralnych, które nam poeta przedstawia, nazywam „współczuciem psychologicznem.“ Jest ono rozszerzeniem doświadczenia własnego, jest drogą do serc innych, jest więc dla poety skarbem nieocenionym i niezbędnym. (C. d. n.)

*) Estetyka. Petersburg 1854 str. 335. T I.

TYDZIEŃ WARSZAWSKI.

VI.

Bodajto mieć takiego reprezentanta jak my w naszym Jenerał-Gubernatorze! Nietylko że urządził w imieniu kraju wspaniałą uroczystość na intencyą powodzenia naszych „współbraci“ w walce z niewiernymi, ale jeszcze zawiadomił najjaśniejszego pana o uczuciach uwielbienia któremi przepełnione są nasze serca:

„U stóp waszej cesarskiej mości — (telegrafował hr. Kotzebue) — składam najpoddańsze pozdrowienie powierzonego mi kraju i wojsk warszawskiego okręgu. Zanosimy najgoretsze modły do Wszechmocnego, aby obdarzył Cię najdostojniejszy Monarcho przy upragnionem dla nas zdrowiu i *spokoju ducha*, najzupełniejszem powodzeniem i sławą.“

A nasz miłościwy monarcha raczył również z głębi serca odpowiedzieć: „dziękuję!“

Ach, jak my się kochamy. Boże odpuść!

Możecie sobie wyobrazić radość miasta: okna były uilluminowane, we wszystkich cerkwiach i kościołach odprawiono nabożeństwo, w teatrze dano bezpłatne przedstawienie a w ogrodzie saskim i w parku łazienkowskim grały orkiestry wojskowe od godziny wpół do piątej aż do zmierzchu!...

— „*Mein Liebchen was willst du noch mehr?*“

Ostatni tydzień możnaby nazwać deklamacyjnym. Nie mówiąc już o deklamacyach naszego urzędowego reprezentanta i współbiesiadników rozrzewniającego obchodu urodzin najj. pana, mieliśmy dwa koncerty tak przepełnione deklamacyą że wskutek tego całe miasto nastrojone jest patetycznie.

Wieczorek p. Rychtera, którego od ośmiu lat straciła nasza scena, a który i u was niedawno występował z koncertem, przyjęty był bardzo gorąco przez publiczność. Rychter deklamował gawędy Syrokomli; Sulamitę, ognisty utwór biblijny Bogumiła Aspisa, scenę z „Księcia niezłomnego“ i „Korespondencyą“ Szymanowskiego. Przedmioty jak widzicie bardzo różnorodne a chociaż p. Rychter najlepiej wypowiada „gawędy“, jednakże podołał i namiętnym wybuchom Sulamity, i uczuciowej scenie Kalderona. W koncercie tym usłyszeliśmy nadto świeży i obiecujący talent deklamatorski pani Kamińskiej i znaną nam już siłę i wymowę głosu p. Kotarbińskiego. Ten ostatni jest wychowańcem filologicznego wydziału b. Szkoły Głównej, pisze bardzo dobre recenzye teatralne w *Kuryerze Codziennym* i... *Przeglądzie Tygodniowym*, głos ma prześliczny, wyrobiony, silny i gładki, a rozumu i uczucia w ekspresyi więcej niż niejeden artysta. W przedstawieniach amatorskich p. K. już nieraz zbierał laury, a obecnie zdecydował się wstąpić na scenę Teatru Wielkiego. P. Kotarbiński odznacza się nadto sympatyczną powierzchownością i w rolach „pierwszych kochanków“ kto wie czy nie stanie się ulubieńcem publiczności.

Drugi koncert przez umiejętnego i uczynnego Dyrektora p. Mūnheimera, na dochód studentów urządzony, odznaczył się jeszcze świetniejszą deklamacyą. Królikowski mówił za Gustawa w Dziadach a panna Deryng wyjątek z Preciosy przy towarzyszeniu orkiestry. Oklaskom nie było końca; p. Deryng musiała powiedzieć nad program zawsze śliczną poga-

dankę Ujejskiego: „Niebezpieczna“ w której tyle wdzięku rozwijała p. Modrzejewska.

W teatrze przez cały tydzień grają tylko „Wielkiego Człowieka“ Fredry, który tu robi furorę. Wszyscy recenzenci podziwiają w tej sztuce, dawny, prawdziwie rodzimy humor naszego mistrza, który tak prostymi środkami, nie używając całej nowszej maszyneryi francuskich komedyopisarzy umie przecież budzić zapał i śmiech serdeczny.

Jako jeden z wyrazów powodzenia, przesyłam wam dowcipną recenzyą Kuryera Świątecznego, który w liście restauratora zamiast krytyki teatralnej podaje zarazem *gastronomiczną* charakterystykę naszych komedyopisarzy:

„Cóż powiesz mój panie Świąteczny, że ja, choć wcale nie bywam w teatrze, znam się jednak lepiej na sztukach, niż wszyscy wasi recenzenci teatralni! Wiem ja dobrze, co są warci nasi żyjący i nieżyjący komedyopisarze. Weźmy naprzykład *Anczyca*. Po jego *Emigracyi chłopskiej*, choć tylko w Tivoli była przedstawianą, musiałem gościom zamiast po 6, po 4 raki dawać na porcyą, a i tak jeszcze wszystkich obdzielić nie mogłem. *Bliziński*, to wcale zdolny człowiek; zaraz to powiedziałem, gdy po pierwszem przedstawieniu *Marcowego kawalera* zabrakło mi w kuchni polędwicy. *Bałucki* także sobie niczego; szczególnie po jego sztukach kotlet wołowy dobrze odchodzi. *Fredro młody!* aj! aj! co to za autor. Ta *Posażna jedynaczka*, to ci panie, sztuka: nawet pieczeń huzarska z dnia poprzedniego wyszła po niej zupełnie. Temu *Lubowskiemu* niech Pan Bóg da długie lata i dobry humor. Po jego *Przesądach* tak mi z kuchni wszystko wymietli, że ledwie krzyżówki na trzy porcye zrazów nelsońskich zostało. O *Narzymskim* nie ma co mówić. Był to autor w całem znaczeniu tego wyrazu; raz mi nawet po przedstawieniu *Pozytywnych* piwa lagrowego zabrakło. Albo *Okoński*, z jaką on to siłą przyciągającą pisze. Wprawdzie po jego *Niewinnych* zostało mi kilku winnych; no! ale nie mam żalu o to, bo byfsztyk po angielsku szedł tak, że aż miło. *Sarneckiego* zdolności także są nielada; naprzykład *Dworacy niedoli*; bardzo dobrze po nich sznycle cielęce odchodziły. Ale co to wszystko znaczy w porównaniu starego Fredry! To dopiero komedyopisarz! Jeszcze jak mam restauracyą nigdy mi się nic podobnego nie zdarzyło, jak to co mnie po przedstawieniu „Wielkiego człowieka“ spotkało. Zrazy, pieczeń, polędwica, główka cielęca, kotlet wołowy, potrawa z pulardy, wszystko co do kruszyny wyszło; nawet kawałka chleba i źdźbła masła niktby u mnie po tej komedyi na lekarstwo nie znalazł. O innych autorach nie wspominam wcale, bo i po cóż mam o nich wspominać, kiedy po sztukach przez nich zrobionych, nic a nic, albo bardzo mało z kuchni mi odchodzi.“

Orkiestra Fliegego w tych dniach zjeżdża do „Doliny Szwajcarskiej“; w teatrze odbywają się próby komedyi Bałuckiego „Teatr Amatorski“ a b. dyrektor Quatrini przygotowuje partycyą Halki z tekstem włoskim dla teatru Wiktora Emanuela w Turynie. Koncert studencki przyniósł dochodu blisko 1000 rs. — przyznacie, że to nie tak jak u was!

BIBLIOGRAFIA

polska.

— Kosmos, czasopismo polskiego Towarzystwa Przyrodników imieniem Kopernika, wychodzące pod redakcyą prof. dr. Br. Radziszewskiego rok pierwszy. 8ka str. 603. Lwów 1876 r. 5 złr.

I. Rozprawy naukowe: Teorya gwiazd spadających według Schiaparellego. Dzieje księżyca pr. Brunona Abakanowicza. O szybkości z jaką zachodzą przemiany chemiczne. O wpływie wagi cząstki kwasów na wielkość współczynnika szybkości przemian chemicznych pr. Boguskiego. O rozwoju przemysłu żelaznego. Najnowsze postępy na polu wyrobu stali i żelaza sztabowego pr. Dr Grabowskiego. Wiadomości zoologiczne pr. Dr Janotę. Przyczynek do geografii ogólnej i geografii miasta Lwowa pr. Kawczyńskiego. Rzecz o trzęsieniu ziemi i opis trzęsienia ziemi w Galicyi w. 1875 r. przez Dr Kreutza. Przyswajanie u roślin, Dr Kudelka. O zadaniu społecznej antropologii i jej stosunku do innych nauk pr. Dr Lutostańskiego. O trawieniu kiszkowem. O znamionach pr. Dr Nenckiego. Spostrzeżenia geologiczne w okolicach Przemyśla pr. Dr Romera. Nieco o zapładnianiu u ssących pr. Dr Rościszewskiego. Świat drobnowidzowy pr. Dr Stellę Sawickiego. O narządach rodnych ryb kostnych. Z podróży do Japonii pr. Dr Syrskiego. Muzeum Kopernika w Rzymie pr. Dr Wołyńskiego. O Koperniku pr. Dr Zbrożką. II. Kronika naukowa prowadzona przez prof. Abakanowicza, Bandrowskiego, Ciesielskiego, Fabiana, Godlewskiego, Kreutza, Niedźwiedzkiego, Ochorowicza, Radziszewskiego, Rościszewskiego, Staneckiego i Tyniec-kiego. III. Kronika towarzystw naukowych. IV. Artykuły okolicznościowe. V. Piśmiennictwo. VI. Wiadomości bieżące.

— Promyk Kazimierz. Pierwsza książeczka dla wprawy w czytaniu. 8ka str. 32. Warszawa 1876. 5 c.

— Tissot Wiktor. Podróż po zaborach pruskich. Tłumaczenie z francuskiego, zeszyt 1—6. 8ka str. 400 Warszawa. 1876 —7 1·80.

Całość obejmie 7 zeszytów.

— Tissot Wiktor. Prusacy w Niemczech. Przekład z francuskiego 8ka str. 537. Warszawa 1877. 1·80.

Z Paryża do Monachium. Monachium. Typy, obyczaje, charaktery. Kwestya religijna. Duchowieństwo. Uroczystości. Polityka i izba. Rodzina królewska. Szkoła krzyżowa w Oberammergau. Hamburg. Bremen. Wilhelmshawen. Essen.

— Kluger Władysław. Wykład wytrzymałości materyałów i stałości budowli. 8ka str. 600. Paryż 1876. Oprawne. 10 fl.

Przedmowa. Pogląd historyczny na rozwój nauki o Wytrzymałości materyałów. Zasady i określenia. Belki. Ściskanie i rozciąganie. Wygięcie proste i złożone. Przesuwanie proste i złożone. Skręcanie. Łuki i powierzchnie. Łuki metalowe. Powierzchnie. Budowle murowane. Stałość sklepień. Stałość murów oporowych. Z dodatkiem 7 tablic.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura i sztuka.

— Pierwszy tom dzieł Juliana Bartoszewicza już wyszedł z druku. Zanim obszerniejszą podamy o nim wzmiankę, zaznaczamy tymczasem, że wydanie jest bardzo staranne, papier dobry, druk elzewirowy, format wielkiej 8ki. Tom ten zawiera pierwszą połowę „Historyi literatury polskiej potocznym sposobem opowiedzianej,“ która w swoim czasie wywołała znaną burzę dziennikarską, a od lat wielu jest białym krukiem księgarskim. Nie było może książki tak popularnej, tak rozrywanej i tak krytykowanej. Ciekawe streszczenie tej polemicznej walki podaje przedmowa syna autora umieszczona na czele książki. Tom ten zawiera 400 str. i kilkanaście kart nieliczbowych. Nie potrzebujemy zdaje się zachęcać publiczności do popierania tak cennego wydawnictwa, nadmieniamy tylko, że do 20. maja można składać prenumeratę, a tem samem otrzymywać dzieła po tańszej cenie.

— Emil Franzos, felietonista wiedeńskich pism: „Neue Freie Presse“ i „Fremdenblatt,“ znany z polakożerstwa autor nowel i powiastek, zebranych pt. „Aus Halbasien,“ w których z niesłychanym cynizmem, w udatną formę przybranym, depce i znieważa wszystko, co polskie, po tanich tryumfach, przygotowanych usłużnemi reklamami pism żydowsko-niemieckich, doczekał się nareszcie zasłużonej odprawy przez poważną krytykę niemiecką. Przeciw tym ramotom, hańbiącym niemiecką literaturę, pierwsza wystąpiła „Literarische Correspondenz,“ wychodząca w Lipsku, ale ponieważ jest to pismo zupełnie nowe, nie przypisywaliśmy do jego wystąpienia zbytecznej wagi. Teraz jednakże staje w obronie naszej, odwołując się do powyższego artykułu, pismo „Ausland,“ wychodzące w Stutgardzie pod redakcyą F. v. Hellwalda, a używające w całym świecie naukowym od wielu lat zasłużonej sławy. Pismo to w nrze 17ym z r. b. zdziera z p. Franzosa cały nimbus pisarza i wykazuje, że p. F. jest lichym paszkwilantem, pozbawionym wyższego smaku i estetycznego poczucia, który na polskiej skórze łatwo i bezkarnie myślał się dobić nieśmiertelności. Witamy z wdzięcznością tego rodzaju niezwykłe objawy budzącego się wśród Niemców poczucia sprawiedliwości, których tak samo milczeniem pomijać się nie godzi, jak zaznaczać każdą, narodowi naszemu wyrządzoną krzywdę.

— P. Emil Deryng, reżyser teatrów warszawskich, otrzymał pozwolenie na założenie szkoły dramatycznej.

Akademia krakowska.

— Otrzymujemy wiadomość z Krakowa, że na posiedzeniu z dnia 3. bm. dla braku kompletów tylko wydział przyrodniczy zaproponował nowych członków korespondentów, a mianowicie pp.: Dra Juliana Grabowskiego, obecnie prof. chemii w Instytucie Przemysłowym, dra Izydora Kopernickiego, znanego antropologa, dra Józefa Rostafińskiego, docenta botaniki w Krakowie i dra Szymona Syrskiego, profesora zoologii na wszechnicy lwowskiej.

Wynalazki.

— Na przyszłorocznej wystawie powszechnej w Paryżu będzie zapewne ogólną zwracał uwagę olbrzymi automat, który na podobieństwo maszyny Vaucauran, ma naśladować wszystkie ruchy ptaka. Jest to wynalazek doktora de Villeneuve, znanego już w aeronautyce z kilku wielce pomysłowych wynalazków. Nowy ten automat, noszący nazwę „ptaka mechanicznego de Villeneuve,“ poruszać będzie maszyna parowa, ukryta w jego wnętrzu. Ptak ten będzie miał głowę kaczki, tułów żurawia, ogon łabędzia, a skrzydła dronta, olbrzymiego ptaka z Madagaskaru. O pewnych stałych godzinach ptak ten latać będzie po nad gmachem wystawy. Mechanizm jego będzie w ten sposób urządzony, że zawsze spadnie na ziemię w oznaczonem z góry miejscu. W Ameryce przed niedawnym czasem oglądano już zastosowanie pary tegoż samego rodzaju. W roku 1866 człowiek żelazny zwany „Daniel Lambert“ odbył drogę z New-Yorku do Filadelfii, ciągnąc za sobą niewielką taczkę. Człowiek ów trzymał w ustach cygaro mosiężne, które służyło do wypuszczania pary. Wynalazek miał wielkie powodzenie, ale nie można było czynić dalszych zastosowań z powodu zbyt wysokiej ceny, jakąby budowa takich ludzi żelaznych kosztowała.

Podróże.

— Otrzymano niedawno list od Stanleya, podróżującego w głębi Afryki. Nieustraszony ten badacz okrążył jezioro Tanganyka i zdjął zeń plany. Zdaje się, że wybrzeża tego jeziora podległe są gwałtownym zmianom, gdyż nawet przewodnik, który prowadził Camerona, przypominał sobie, że w niektórych miejscach, gdzie były ławy piaszczyste, obecnie na kilka stóp głęboka woda.

Wypadki.

— O wybuchu, który niedawno zburzył dom cały przy Kreuzstrasse w Dreznie, przyczem kilka osób zginęło, a kilka odniosło uszkodzenia, podają dzienniki saskie bliższe szczegóły. Były ogniomistrz artyleryi, Steinmüller, mieszkający w tym domu, trudnił się przygotowywaniem ogni sztucznych i po za nadzorem władz utrzymywał w domu znaczny zapas substancyj wybuchowych. Wybuch tych substancyj, który nastąpił z niewiadomej dotąd przyczyny, wysadził w powietrze całą górną część kamienicy. W całem sąsiedztwie uszkodzone zostały dachy, drzwi i okna. Straż ogniowa stłumiła na szczęście pożar, który się wszczął od rozniesionych na wszystkie strony materyałów palnych. Steinmüller, dwie dziewczyny służące i jeden z mieszkańców domu postradali życie na miejscu.

Konkursy.

— W d. 7. kwietnia, odbyło się pierwsze posiedzenie komisyi dramatycznej poznańskiej, ale ponieważ praca okazała się większą niż się spodziewano, zadecydowano więc do poprzednich członków komisyi, dobrać jeszcze kilku innych. Jakoż zaproszono jeszcze na sędziów pp. Bentkowskiego, Marcelego Mottego, Studniarskiego, profes. Dobrowolskiego (redaktora „Dziennika Poznańskiego“), Gruszczyńskiego prof. hr. Soltana i dyrektora teatru, Terenkoczego. Wszyscy obowiązki te przyjęli. Rozdzielono więc między wszystkich członków komisyi, sztuki i naznaczono posiedzenie na 20. kwietnia, na którem były zdawane sprawozdania z odczytanych sztuk, przez każdego członka komisyi.

ROZMAITOŚCI.

— Przed pół rokiem — pisze p. Julian Horain do Gazety Polskiej — rozbiegła się wieść w San Francisco, że wielki korespondent wielkiej gazety „Times", przybył do wielkiego hotelu w San Francisco. W parę tygodni dowiadujemy się, że obywatel Gar, mile przyjęty w najznakomitszych salonach... chcę mówić parlour'ach tutejszych, opisuje takowe w sposób nie zbyt pochlebny; ale to tak pięknie, tak dowcipnie, stylem tak gładkim i poprawnym, że można mu to wybaczyć. W parę tygodni później, wszczyna się okrzyk zgrozy na obywatela Gar; przechwałki i pogróżki, nie tylko między publicznością, ale i po dziennikach tutejszych. Powiadają, naprzykład że tak złośliwy, tak potwarczy korespondent zasłużył jeśli nie na śmierć, to przynajmniej na śmiertelne kalectwo. Ciekawość co też tak zdrożnego napisał? Biorę Times'a i znajduję tam korespondencyą Gar'a, której pewien ustęp był mniej więcej tej treści: „Damy wielkiego świata w San Francisco mają tajemne kluby, w których codziennie zbierają się na lunch, w chwilach gdy ich mężowie zajęci są interesami (busines). Śniadanie takowe skrapiają rzęsiście trunkami od absyntu i brandy do szampana i lunelu. Potem następują rozmaite igraszki; kończy się zaś wszystko spoczynkiem na przepysznych wezgłowiach, wśród krzewów i kwiatów, których zapach stłumiony bywa wyziewami spirytualnemi..." Nie dziw więc, że na to. i na inne temu podobne wykrycia powstał okrzyk zgrozy; szczególniej płeć piękna poprzysięgła zemstę potwarcy. Już chciałem do tego ofiarować moje ramię, gdy... dowiaduję się, pod największym sekretem, że ta potwarz jest prawdą! Jednak ożałowany Gar, jakkolwiek silny jak Herkules, piękny jak Antinous, a waleczny jak Achilles, — zważywszy, że sam jeden nie podoła kalifornijskiej płci pięknej w czambuł wziętej, — ukrył się chwilowo, lecz nie poprzestał swojego niebezpiecznego rzemiosła; i z kryjówki zaczął obrzucać nowem błotem tutejszą, tak zwaną, szlachtę kalifornijską, nie bacząc na to, że jeszcze stare nie zupełnie odpadło. Mało tego: dotknął kilka osobistości „bogato" położonych, wykazując ich nicość moralną i śmieszność fizyczną. Tu już zaczęła się formalna obława na korespondenta: nie mogąc odkryć kryjówki, wyśledzono jednak, że nazwisko Gar jest tylko pierwszą sylabą prawdziwego nazwiska; dwie zaś drugie jakoby mają brzmieć: czyń—ski. To zaostrzyło jeszcze bardziej naszą ciekawość; wszakże gdyśmy się dowiedzieli, że owo indywiduum, prócz nazwiska nic w sobie nie ma polskiego, — że podobno po polsku nie umie — że systematycznie tu, a wprzód w Nowym Jorku, unikało znajomości z Polakami; — daliśmy mu święty pokój. Tymczasem, przed kilku tygodniami, dowiedzieliśmy się z gazet, że na zuchwałego korespondenta napadnięto w dzień biały na jednej z pryncypalnych ulic San Francisco. Trzech było napastników uzbrojonych w kije; on zaś miał tylko przy sobie szpadę ukrytą w lasce; bronił się jak lew; — ale „siła złego, trzech na jednego," — uległ przemocy i srodze oberwał. Myślicież że to go poprawiło? Bynajmniej. Podleczywszy się trochę, znowu pisze korespondencye, jeszcze złośliwsze niż przedtem. Z małego Arouet'a, którego przed wiekiem spotkał podobnyż wypadek, wylągł się wielki Voltaire. Obaczym jak skończy i do czego dojdzie nasz kolega Gar...? Szczęśliwiej się udało, w groźniejszym jeszcze wypadku, redaktorowi tutejszej gazety „Alta". Rzecz tak się miała: Przeszłego piątku, około godziny 9-ej wieczorem, ob. William Hayes (imiennik nowego prezydenta, lecz nie krewny), jeden ze znakomitych adwokatów kalifornijskich, wszedł do biura redakcyi „Alta," i zażądał widzenia się z naczelnym redaktorem tego dziennika. Wskazano mu natychmiast gabinet jenerała Mac Comb, który go przyjął z uprzejmością — jak zwykle się przyjmuje nowo przybywającego prenumeratora — i zapytał: „Czemu ma przypisać zaszczyt oglądania szanownej osoby?..." ect. Obywatel Hayes odparł groźnie: że, gdy w szpaltach „Alty" zjawił się artykuł ubliżający jego adwokackiej reputacyi, przyszedł z żądaniem odwołania wspomnionego artykułu, któreby natychmiast zostało napisane i podpisane. Na to jenerał-redaktor najgrzeczniej mu oświadczył, że raczy być w błędzie; że artykuł inkryminowany nie ma ani tego charakteru, ani tej doniosłości, którą mu raczy przypisać, i że koniec końców, nic tam nie ma do odwołania. Adwokat Hayes nie chcąc wdawać się w długie rozprawy — (adwokat nie chciał wdawać się w rozprawy?... rzecz nie do pojęcia, a jednak prawdziwa!) — dobył zegarek i zapowiedział, że jeśli w przeciągu pięciu minut odwołanie nie zostanie podpisane przez naczelnego redaktora, to mu w łeb wypali. Na takie dictum acerbum redaktor-jenerał zdobywał się na najbardziej przekonywujące argumenta, że jako stróż prawa nie ma prawa z orężem w... kieszeni żądać zadosyć uczynienia; że na to są sądy, trybunały, kompromissy, a w ostatnim dopiero razie pojedynek z równą bronią, itd. Cała ta złotousta elokwencya padała jak groch na ścianę. Groźny adwokat stał jak mur, milczał jak ryba i oczu nie spuszczał z zegarka, którego dłuższy indeks prędko, choć niewidzialnie, się posuwał. Tak przeszły cztery okropne minuty... już i piąta miała się ku schyłkowi.. W tak krytycznej chwili przyszło zagrożonemu redaktorowi natchnienie — co nikomu nie przymawiając, rzadko się redaktorom przytrafia; —i w chwili gdy krwiożerczy adwokat sięgnął do własnej kieszeni dla urzeczywistnienia swojej groźby, jenerał-redaktor rzucił się nań gwałtownie, chwycił za gardło, obalił na ziemię, i nacisnąwszy kolanem, przytrzymał dopóki nie nadbiegli na pomoc współpracownicy, zecerzy, reporterzy i tym podobna dziennikarska hałastra. Tu już łatwo przyszło rzecznika Hayes'a rozbroić, związać, wsadzić do powozu i odwieść do Ratusza, gdzie go uwięziono pod oskarżeniem grożenia śmiercią, mając przy sobie broń zakazaną. Ale łatwiej utrzymać miętusa w ręku niż adwokata w kozie. Już nazajutrz rano, po złożeniu kaucyi w ilości 1000 dollarów, wypuszczono go na wolność. Dziś dowiaduję się, że adwokat Hayes, wchodząc na właściwą swą drogę, z której mu schodzić nie wypadało, zaniósł przeciwną skargę na jenerał-redaktora Mac Comb, o gwałtowną napaść, czynną obelgę, pogróżki, przechwałki itp. Będziemy więc mieli pocieszny proces adwokata z redaktorem — obaczym który którego przegada.

— Zuchwały oszust, który się wydawał za barona Samoskeöy, i którego uwięziono w Paryżu stawał dnia 8 b. m. przed sądem policyi poprawczej! Jak się ze śledztwa okazało, jest synem wychodźcy węgierskiego, urodził się w Paryżu i liczył lat 27. Posiada eleganckie, wojskowe nieco maniery i w ogólności robi wrażenie dżentelmana. Zeznał, że uczęszczał do szkół w Barcelonie, a w początkach wojny niemiecko-francuskiej wstąpił był do armii francuzkiej, lecz już w bitwie pod Woerth został ranny i opuścił szeregi. Następnie służył don Carlosowi, który go kilkakrotnie w tajnych misyach wysyłał do Francyi. Za różne przestępstwa jednak później karlistowski sąd wojenny skazał go na śmierć, poczem Samoskeöy umknął do Ameryki. Tam ożenił się z bogatą panną nazwiskiem Sarah Gibson, i jak twierdzi, w tym jedynie celu przybył do Europy, ażeby poradzić się znakomitych lekarzy co do choroby swej żony, co jednakże nie przeszkadzało mu wcale zaciągnąć się mimochodem jako ochotnik do szeregów serbskich; lubo Węgier z urodzenia. nie był do tego z pewnością powodowany przekonaniem, a korzystał tylko widocznie ze sposobności, ażeby w mętnej wodzie ryby łowić. Opuściwszy wnet szeregi serbskie puścił się w podróż po Europie i na każdym niemal kroku popełniał szalbierstwa. W Paryżu raz mienił się baronom Samoskeöy, to znowu wydawał się za barona Vecsey lub hrabiego Cherroy, a przytem tak swą osobę jak i całe swe postępowanie umiał otoczyć taką tajemnicą, że dotąd właściwie sąd nie ma pewności, czy powyższe szczegóły o pochodzeniu i przeszłem życiu oszusta są prawdziwe. Już w latach 1874 i 1876 z powodu licznych skarg kupców i właścicieli hotelów, mniemany baron Samoskeöy, który zawsze wymknąć się umiał z rąk policyi, skazany został przez paryski sąd policyi poprawczej na różne kary wynoszące razem sześć lat więzienia. Oszust jednak nic nie wiedział o tych zaocznych wyrokach i z właściwą sobie zuchwałością znowu niedawno wypłynął w Paryżu, gdzie tym razem natychmiast został poznany i uwięziony. Widać jednak że się pod szczęśliwą gwiazdą urodził, ponieważ w przeprowadzonej rozprawie ostatecznej nie zdołano należycie udowodnić ani jednego faktu oszustwa z tych, które spowodowały wspomniane wyroki zaoczne i sąd dla braku dowodów wypuścił go na wolność. Teraz kolej jednak na sądy w Peszcie i Wels, gdzie pan baron tyle nagrzeszył. Dodać jeszcze należy, że przy rozprawie wyszło na jaw, iż Somoskeöy z teatru wojny w Serbii liczne pisywał sprawozdania do dzienników „Siécle" i „Courrier de France."

— 23go marca dostawiono do Ufy, powrozami skrępowanego słynnego bandytę Isebeja Apuka. Rabuś ten zbiegł z więzienia z Syberyi, powrócił w rodzinne strony i czas długi władał wszechwładnie zielonym stepem. Zuchwalstwo Apuka nie znało granic; z dwoma towarzyszami napadał na karawany, sam jeden przyjeżdżał do wiosek i od mieszkańców pobierał daninę, po jego nożu toczyła się krew wielu ofiar. Pewnego dnia, do ruskiej wsi Melenzy, przybiegł pasiecznik z wieścią, iż w jego chacie od dni pięciu ukrywa się Apuk z trzema towarzyszami. Sołtys nie namyślając się długo, zebrał kilkudziesięciu włościan i udał się na obławę. Otoczono pasiekę. Apuk odstrzeliwał się długo, wkrótce zagrzmiał rozkaz sołtysa: „Chłopcy puśćmy ich z dymem, głową odpowiadam za wszystko!" W mgnieniu oka, wał chrustu wzniósł się w koło chaty — zabłysł ogień. Widząc to, jeden z bandytów wyrzucił przez okno broń. Do okna tego rzucił się śmiało, z komendy sołtysa, jeden z włościan, lecz padł ugodzony śmiertelnie kindżałem Apuka, który w tejże chwili wyskoczył z chaty i z „szaszką" w ręku rzucił się na oblegających. Silny raz pałki dębowej położył koniec nierównej walce. Bandyta padł ogłuszony na ziemię. Włościanie związali wówczas rabusiów i w tryumfie odwieźli ich do Ufy.

— Pierwszą przeszkodą, jaką armia moskiewska napotkała w swoim pochodzie ku właściwej granicy tureckiej, jest Dunaj, który na długość mil sześćdziesięciu otacza Turcyą jak fosa forteczna. Wzdłuż tej rzeki, odgraniczającej Bułgaryą od Rumunii wznosi się kilka twierdz, których pierwotne mury zbudowali jeszcze niegdyś Rzymianie: Widdyń, Nikopolis, Ruszczuk, Sylistrya, Hirsowa, Isakcza, Tulcza. Dziś zostały otoczone redutami, fortami i jeżą się na wszystkie strony działami Kruppa. Prawie naprzeciw każdej z wymienionych fortec tureckich, wznosi się na lewym brzegu Dunaju odpowiednia forteca rumuńska. W czasie pokoju fraternizują one z sobą, dziś wyszczerzają na siebie zęby. Tak np. Giurgewo i Ruszczuk, Kalafat i Widdyń. Te dwie warownie ostatnie są bardzo ważne z tego powodu, że leżą u samego krańca linii Dunaju i u zbiegu czterech granic: Turcyi, Rumunii, Serbii i Austryi. Widdyń należy do Turków, Kalafat do Rumunów. Obie fortece są wzniesione na gruntach niskich, gliniastych, błotnistych. Jednakowoż Kalafat góruje nad Widdyniem. Pierwszy jest prawie wyłącznie cytadelą, ma tylko 3000 mieszkańców, i słynie jedynie w dziejach wojen; drugi ma także doniosłość handlową, liczy 20000 ludności a w swej kronice ma zapisane głównie dwie daty: w 1689 roku klęskę, a w 1828 zwycięztwo. Niedaleko ztąd leży handlowe rumuńskie miasto Turnul-Severin i znane z ostatniej wojny serbskiej miejscowości nad linią Timoku: Kładowa i Negotyn. Turcy przygotowali się dobrze, aby na pierwszą wiadomość o wojnie, wznieść most tymczasowy na Dunaju między Widdyniem a Kalafatem, i zająć tę ostatnią twierdzę. W tym celu zgromadzili nawet znaczną ilość promów, czyli, jak oni je nazywają: Karłaszy. Giurgewo, o którem telegramy donosiły, że zajęte zostało przez Moskali, leży naprzeciw Ruszczuka, tak samo jak Kalafat naprzeciw Widdynia. Z Giurgewa idzie kolej żelazna do Bukaresztu, z Ruszczuku do Warny. Między Giurgewem a Ruszczukiem leży na środku Dunaju, wyspa neutralna, którą podobno już Turcy zajęli. Posiadanie tej wyspy jest ważne, bo można z niej ostrzeliwać twierdzę, znajdującą się w rękach przeciwnika. W lipcu 1854 roku wojska moskiewskie opanowały tę wyspę, ale w skutek interwencyi austryackiej musiały się z niej cofnąć.

Treść Nr. 35.

	str.
Nasza niezaradność	545
Szklanny człowiek nowella J. Lama (c. d.) .	546
O rzeźbie odczyt Ottona Hausnera (c. d.) .	547
Powstanie nad Bajkałem. Z pamiętników naocznego świadka Z. O. (c. d.) . . .	549
Gabryel Conroy romans Bret-Harta (c. d.) .	549
Z dziejów Unii przez J. Bartoszewicza (c. d.)	552
Dosyć (urywek z pamiętników artysty) Turgeniewa (c. d.)	553
Piśmiennictwo polskie	554
Stary Leśnik wiersz Klemensa Junoszy .	555
Tydzień lwowski XII	556
O twórczości poetyckiej przez J. Ochorowicza.	557
Tydzień warszawski VI	558
Bibliografia	559
Wiadomości z kraju i ze świata. . .	559
Rozmaitości.	560

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego). Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą Józef A. L. Laskownicki.